

30 dni
Nr 1 (63) 9 zł
STYCZEŃ / LUTY
ROK 2006
DYMIESIĘCZNIK
7% VAT
NDE 3-7566 ISSN 1506-6487

2x 30 dni

GDĄŃSK • GDYNIA • Sopot • POMORZE



POWODZIE
w delcie Wisły

Nowak i jego „szpaki”



„30 Dni” – dwumiesięcznik, pomagający lepiej poznać i bardziej pokochać Gdańsk, Sopot, Gdynię i Pomorze Gdańskie



Numery archiwalne „30 Dni”

do nabycia w siedzibie redakcji • Gdańsk, ul. Szeroka 121/122

TANIEJ NIŻ MYŚLISZ
BLIŻEJ NIŻ CI SIĘ WYDAJE

SIEĆ 34
10 lat

Ponad 1000 sklepów w całej Polsce.



10 lat



FOTO: WOJTEK JAKUBOWSKI / KFP

Astronom przypominany

29 stycznia minęła 395. rocznica urodzin Jana Heweliusza (zmarł 319. śmierci, gdyż astronom zmarł w swoje urodziny). Od kilku już lat jest ona w Gdańsku okazją do świętowania, często w karnawałowym stylu.

Tak było i w tym roku. Od ulicy Długiej do placu przed Ratuszem Staromiejskim przetoczyła się barwna kawalkada. Otwierał ją mistrz Jan, jadący bryczką w towarzystwie prezydenta Adamowicza, a w kolorowej paradzie wzięła udział prawie setka aktorów i dzieci, przebranych w stroje, które przypominały tamtą epokę. Uczestników uroczystości i zgromadzonych gdańszczan częstowano piernikami, grzany piwem i ciepłą herbatą.

Kulminacyjnym punktem obchodów było odsłonięcie pomnika astronoma na skwerze przed Ratuszem Staromiejskim. Trzy i półmetrowy monument jest dziełem Jana Szczypki. Wzniesiony został w tym samym miejscu, w którym od 1973 roku stała, niezbyt udana zdaniem krytyków, rzeźba autorstwa Michała Gąsienicy-Szostaka. Tę ostatnią w ubiegłym roku przeniesiono na miejsce przy ulicy Wodopój, w okolicy hoteli „Hevelius Mercure”.

Mamy, w różnych punktach miasta, kilka tablic i pomników, które upamiętniają astronoma. Nowy monument stanął w bliskiej odległości od kościoła św. Katarzyny, gdzie jest jego grób, a także blisko miejsca, gdzie kiedyś wznosiły się kamienice, w których mieszkał i miał obserwatorium.

Stycziowe uroczystości zakończył wieczorny koncert w filharmonii na Ołowiance, z udziałem Doroty Miśkiewicz i Grzegorza Turnaua. Wykonano między innymi „Planety” Gustava Holsta.

Księżniczka Anna nad Motławą

Córka królowej Anglii, księżniczka Anna z dynastii Windsorów, odwiedziła Gdańsk. Głównym powodem jej przyjazdu było wodowanie statku „Phares”.

W czwartkowy wieczór, 2 lutego, uczestniczyła w dwóch przyjęciach. Na pierwszym, a był to obiad w Dworze Artusa, podejmowana była przez prezydenta Adamowicza i władze miasta. Później, w restauracji „Pod Łososiem” spotkała się na prywatnej kolacji z przedstawicielami armatora wodowanego statku. Noc spędziła w hotelu Oliwski Dwór.

Rano w piątek (3 lutego) księżniczka rozpoczęła dzień od wizyty w Bibliotece Brytyjskiej przy ulicy Ogarnej, gdzie wręczyła nagrody zwycięzcom konkursu na ulubione angielskie słowo. Wygranym słowem zostało „velocity” (szybkość), które zaproponowała gimnazjalistka Zuzanna Wojcieszak. W biurze w Zielonej Bramie była gościem Lecha Wałęsy, który rozmawiał z nią, między innymi, o potrzebie otwarcia za-

Sypnęło nagrodami w nauce i kulturze

Wstyczniu i lutym sypnęło nagrodami dla gdańskich twórców nauki i kultury. Zaczęło się od Nagrody im. Jana Heweliusza, którą w tym roku wręczano po raz osiemnasty. Od pięciu lat przyznawana jest w dwóch kategoriach: nauk ścisłych i przyrodniczych, oraz nauk humanistycznych. Nagrodzie patronuje prezydent Gdańska. W tym roku laureatami zostali: profesor Janusz Limon z Akademii Medycznej „za wybitny wkład w rozwój badań cytogenetycznych i molekularnych metod diagnozowania nowotworów złośliwych” i profesor Józef Borzyszkowski „za całokształt dorobku w dziedzinie badań nad dziejami Pomorza, Kaszub i Gdańska”. Nagrody wręczono podczas gali w Ratuszu Głównego Miasta.

Kilka dni później w Ratuszu Staromiejskim czterech gdańszczan uhonorowano medalami „Zasłużony Kulturze – Gloria Artis”. Są to wyróżnienia ministra kultury. Złoty medal otrzymał Marian Kołodziej, artysta plastyk i scenograf,

chodnich rynków pracy dla obywateli nowych państw Unii Europejskiej. Wspólnie z prezydentem udała się pod Pomnik Poległych Stoczniovców i złożyła tam kwiaty.

Wodowanie statku odbyło się w Stoczni Północnej. Księżniczka była matką chrzestną „Pharesa”. Po rozbiciu butelki szampa stanu statek bardzo szybko znalazła się na wodzie. Jest to już druga jednostka, którą stocznia zbudowała dla szkockiego armatora. Ceremonii towarzyszyły krótkie przemówienia i muzyka: Orkiestra Marynarki Wojennej grała nie tylko hymny, ale też między innymi przeboje Roda Stewarta i Beatlesów.

Księżniczkę Annę żegnano na przyjęciu w Muzeum Morskim. Po południu odleciała do Londynu.



FOTO: MACIEJ KOSIŃCZAK / KFP



FOTO: MACIEJ KOSIŃCZAK / KFP

Odznaczeni medalami „Gloria Artis”: w zastępstwie prof. Jerzego Limona jego brat Janusz, Józef Chelmski, Marian Kołodziej i Zbigniew Jujka

Laureaci Nagrody Heweliusza: profesorowie Janusz Limon i Józef Borzyszkowski



FOTO: MACIEJ KOSIŃCZAK / KFP

współtwórca pamiętnego ołtarza „papięskiego” na Zaspie. Srebrne medale wręczono Józefowi Chelmskiemu – ludowemu artyście związanemu z kaszubszczyzną; profesorowi Jerzemu Limonowi – pisarzowi, tłumaczowi i eseistce, który chce zbudować w Gdańsku teatr elżbiętański i Zbigniewowi Jujce – rysownikowi, autorowi popularnego „Dzienniczka” w „Dzienniku Bałtyckim”.

Wreszcie przyszła kolej na „Splendor Gedanensis”, nagrody prezydenta Gdańska w dziedzinie kultury. W tym roku trafiły one do dwójki profesorów Akademii Muzycznej: Katarzyny Popowej-Zydroń, która poprowadziła Rafała Blechacza do zwycięstwa w konkursie chopinowskim, i Marcina Tomczaka, który dyryguje Akademickim Chórem Uniwersytetu Gdańskiego. Trzecim laureatem nagrody prezydenta został Mieczysław Abramowicz. W 2005 roku wydał tom opowiadań „Každy przyniósł, co miał najlepsze”. Honorowy tytuł Mecenasa Kultury 2005 trafił do koncernu naftowego Grupa Lotos SA.



Przez długie stulecia mieszkańcy delty Wisły żyli ze świadomością zagrożenia, jakie niesie rzeka. Ale umieli też bronić się przed kataklizmami, jeśli tylko żywioł nie przybierał katastrofalnych rozmiarów. Budowali wały i rowy odwadniające, przy domach trzymali łodzie, którymi ewakuowali się, gdy zachodziła taka potrzeba.

W XIX wieku dwie największe powodzie miały miejsce w 1829 i 1840 roku. Podczas tej drugiej, spiętrzona Wisła przerwała mierzęję i znalazła sobie nowe, kolejne ujście do morza. Tę nową odnogę Wincenty Pol nazwał Wisłą Śmiałą.

W jednym ze swoich szkiców Pol relacjonuje opowieść Żuławiaka, który wypłynął na rzekę właśnie w tę noc, kiedy powstał przełom (przypominamy ją na stronach 26-29). Dowiadujemy się z niej, że w chwilach zagrożenia funkcjonował system „pocztowych łódek”. Rybacy obserwowali stan wody i tworzenie się lodowych zatok, i powiadamiali gdańszczan, jak rozwija się sytuacja. Taka służba istniała też w górę rzeki, na odcinkach znacznie oddalonych od morza. Wszystko to pracowało zapewne nieźle, skoro niejednokrotnie udawało się zmniejszać ryzyko strat, które zawsze wiązały się z powodzią.

Z opowieści tej wylania się jeszcze jeden ciekawy obraz: ludzi, którzy tu żyli. Byli uodpornieni na nieszczęścia, które przynosił żywioł i nie czekali bezradnie: ratowali siebie i dobytek, a kiedy powódź mijała, szybko naprawiali szkody. Można powiedzieć, że w jakiś naturalny sposób wyzyskiwali doświadczenia kilku wieków zmagania z trudnymi niespodziankami przyrody.

Grzegorz Fortuna

22 Wielka woda



FOTO: MACIEJ KOSYCIARZ

Najstarsze zachowane informacje o powodziach w delcie Wisły sięgają 1328 roku. W dolnym jej biegu, niekiedy cyklicznie, powtarzały się wielkie wylewy, bądź wdzieranie się wzburzonego Bałtyku na obszar Żuław. W ostatnim pięćsetleciu odnotowano blisko sto pięćdziesiąt katastrofalnych powodzi.



FOTO: ARCHIWUM JACOWA KOWALA

34 Nowak i jego „szpaki”

Ruch „szpaczkowy” rozprzestrzenił się coraz szerzej. W samym Trójmieście było w końcu lat sześćdziesiątych ponad tysiąc jego uczestników i co najmniej drugie tyle w gniazdach po całej Polsce.



FOTO: S. KITOWSKI „GDYŃA. MIASTO Z MORZA I MARZEN”

46 Dzielnica, po której zaginął ślad

Idąc łakami z Gdyni na Oksywie, mijało się chaotyczne skupisko dziwnych zabudowań. Kłębiło się tu bez ładu i składu kilkadziesiąt baraków, bud, szop i szatasów.

30 dni PROPONUJE

30dni

Gdańsk, Gdynia, Sopot i Pomorze

Dwumiesięcznik ilustrowany – magazyn pomagający
lepiej poznać i bardziej pokochać
Gdańsk, Gdynię, Sopot i Pomorze Gdańskie

Nr 1 (63)

Styczeń / Luty 2006

Wydawca: „Millenium Media” Sp. z o.o.

Adres Redakcji i Wydawcy:

ul. Szeroka 121/122, 80-835 Gdańsk

Telefon i fax: (0-58) 301 61 34

e-mail: 30dni@use.pl

Prezes Zarządu i Redaktor:

Grzegorz Fortuna

Layout:

Miłosz Rączkowski, Jarosław Szopiński

Opracowanie graficzne:

Małgorzata Trys

Zespół i współpracownicy:

Waldemar Borzestowski

Tadeusz Głuszko

Projekt redakcyjny i wydawniczy numeru:

Grzegorz Fortuna, Wojciech Duda i inni

Fotografie:

Agencja Kosycarz Foto Press

Maciej Kosycarz – Wojtek Jakubowski

Marcin Pazio

Archiwa:

Biblioteka Gdańska PAN, Archiwum Państwowe w Gdańsku,
Muzeum Narodowe Gdańsk, Muzeum Historyczne Miasta Gdańska
i zbiory prywatne

Reprodukcje zdjęć:

Andrzej Kolec

Druk:

ZPW „Poznań”, Inowrocław

Reklama:

Prosimy o kontakt z wydawcą tel. 301-61-34

Prenumerata:

zamówienia przyjmuje wydawca.

Opłatę (3 numery – 27 zł, rok – 54 zł) należy wpłacać na konto:

Millenium Media Sp. z o.o.

NORDEA BANK POLSKA S.A. 09 14401097 0000 0000 0032 0797

Wysyłkę rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dacie wpłaty.

Numer archiwalny do nabycia w redakcji

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych.

Zastrzega sobie prawo skracania i aduściacji tekstów,
a także zmiany ich tytułów.

Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczonych reklam i ogłoszeń.

ISSN 1506-6487

Partnerem tego wydania miesięcznika 30 dni jest

PROKOM
SOFTWARE SA

Na rozgrzewkę 4

- Astronom przypomniany
- Księżniczka Anna nad Motławą
- Sypnęło nagrodami w nauce i kulturze
- Od redakcji

Mróz na zatoce, mróz w mieście 8

W drugiej połowie stycznia przez kilka dni na Pomorzu i Żuławach termometry pokazywały temperaturę poniżej minus 20 stopni. Obficie padał śnieg, chwilami wiał ostry wiatr. Na kilku zdjęciach oglądamy, jak atak zimy zmienił krajobraz morza i miasta.

„Pętla” na Chełm 14

Masyw Biskupiej Górki nie ułatwiał kontaktu między Chełmem i Gdańskiem. I tak narodziły się dwa obejścia tej naturalnej przeszkody. Jedno, dłuższe, południowe, wykorzystano rozpościerając się pomiędzy Chełmem,



FOTO: ARCHIWUM PAŃSTWOWE GDAŃSK

Szkotami a Biskupią Górką szeroką dolinę, opuszczającą się ku wsi Zaroślak. Drugie, północne, schodziło z niewielkiej przełęcz między Biskupią Górką a Chełmem ku Gdańskowi, osiągając tuż nad kanałem Raduni wielkie żwirowe wyrobisko, nazwane z czasem Piaskownią.

Ślawomir Kościelak

Wielka woda 22

Krzysztof Figel

Rozmaitości 31, 44

Wystawa „Koniec epoki” 31

W Nadbałtyckim Centrum Kultury prezentowana była wystawa zatytułowana „Koniec epoki”. Złożyły się na nią fotografie,



które przygotował Grzegorz Gorczyński, a które były rekonstrukcjami fotografii wykonanych na szklanych negatywach przez Edwarda Janusza.

Sekrety mostów nad kanałem Raduni 44

Pamiętki z dawnych lat odnajdują się też na mostach. Blaszką z nazwiskiem i miłosna „inskrpcja” odkryte zostały na dwóch mostkach na kanale Raduni.

Tadeusz T. Głuszko

Nowak i jego „szpaki” ... 34

Tadeusz T. Głuszko

Dzielnica, po której zaginął ślad 46

Michał Sikora

Kawaler Bem 52

Józef Bem walczył odważnie i ofiarne podczas oblężenia Gdańska w 1813 roku.

Natalia i Waldemar Borzestowski

Wojenny Hel 56

Ze wspomnień i lektur wyłania się obraz codziennego życia na Helu w ostatnich miesiącach wojny.

Lucjan Kurgan

Piecewski dwór 61

Przykład piecewskiego dworu pokazuje, że zabytek oddany w prywatne ręce, może powrócić do dawnej świetności i stać się ozdobą osiedla.

Dorota Treła-Godzwon



FOTO: D. TRELA-GODZWON

Galeria 66

Na pokładzie parowca „Hela” 66

Listy 68

Wydawnictwa 69

Na okładce:

Starsi uczestnicy kółka fotograficznego Henryka Nowaka przed bocznym wejściem na moło w Sopocie, lata sześćdziesiąte XX w., archiwum Jaromira Nowaka.



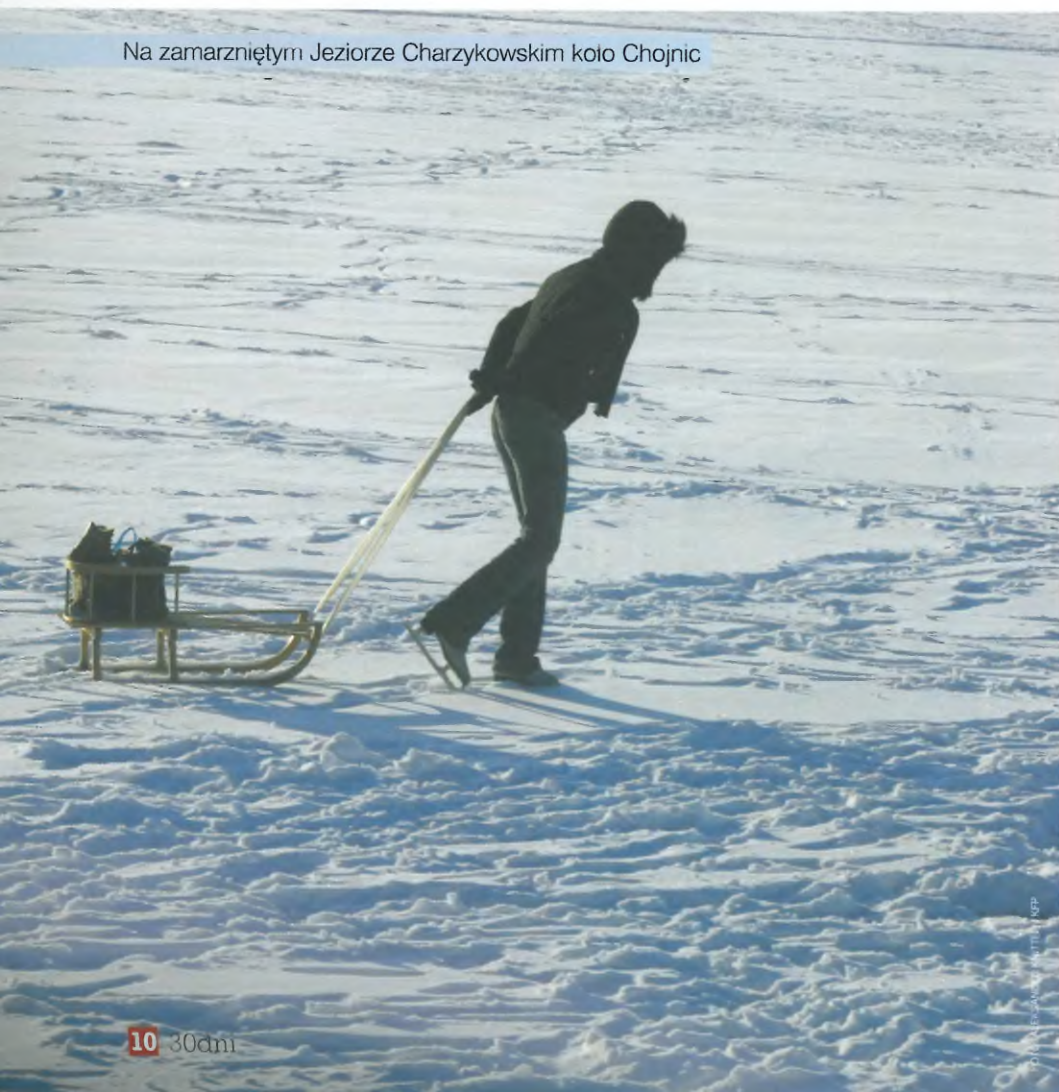
MRÓŻ na zatoce w mieście

W drugiej połowie stycznia przez kilka dni na Pomorzu i Żuławach termometry pokazywały temperaturę poniżej minus 20 stopni. Obficie padał śnieg, chwilami wiał ostry wiatr.



Plaża i molo w Brzeźnie

FOTO: MACIEJ KOSCIARZ / KFP



Na zamrzniętym Jeziorze Charzykowskim koło Chojnic

W naszym klimacie takie ataki zimy nie są żadnymi anomaliami, zdarzały się i zapewne będą się zdarzać. Istotne jest raczej to, czy potrafimy się odpowiednio przygotować, kiedy nadchodzi fala mrozów i opadów. Tym razem nie było chyba najgorzej. Wprawdzie zamknęto kilka szkół (głównie poza Trójmiastem), tu i ówdzie pojawiły się utrudnienia w komunikacji, a niektórzy mieli kłopoty z uruchomieniem samochodów, ale żywioły nie przyniosły klęski, która paraliżowałaby życie regionu. Niestety, nie obeszło się bez ofiar wśród bezdomnych.

Zatoka Gdańska i Pucka podmarzały z różnych stron, lodem skute były mniejsze rzeki, jeziora i potoki. Kiedy zamarza Wisła, pojawia się zagrożenie powodziwe dla Żuław. Ale i tu sytuacja była opanowana, a niebezpieczeństwo może nadejść raczej wtedy, gdy rozpoczną się właściwe wiosenne roztopy.

A lekarze mówią, że taka pogoda jest dla nas dość korzystna. Jeśli odpowiednio się ubieramy, mniej chorujemy, zwłaszcza na przeziębienia i grypy, a śnieg i wiatr oczyszczają powietrze i możemy spokojnie korzystać ze spacerów lub uprawiać zimowe sporty.



Zatoka Pucka w okolicach Rewy





Gdynia, widok na port i przyległe dzielnice

Chociaż tytuł brzmi całkiem „tramwajowo”, nie będziemy tu roztrząsać ważnej – i skądinąd na czasie – kwestii rządowych i unijnych dotacji do linii tramwajowej na Chełm. Będzie za to sporo o filozofii omijania przeszkód i o tym, że niektórych barier przekroczyć się nie da. Ale przede wszystkim jest to opowieść o martwej naturze międzyludzkiej komunikacji.



Ulica Pohulanka wije się po stoku wzgórza na Chełm, ok. 1925

FOTO: ZBORY-ALISNE.WA

„PĘTLA” NA CHEŁM

Tekst: Sławomir Kościelak

Jest w środku Gdańska wzgórze, które od kilku wieków nazywa się Biskupią Górką. Ostatnia wyniosłość rozległego masywu, który geografowie z grubsza zwykli nazywać Wysoczyzną Gdańską. Wjeżdżając do miasta nie sposób nie zwrócić nań uwagi. Ten szczyt był zawsze wyzwaniem dla malujących panoramy Gdańska artystów i mącił spokój strategom. Kto nad nim panował, ten panował nad miastem. Byli tacy, którzy próbowali to wzgórze zrównać z ziemią i znaleźli się tacy, którzy je ukradli. Bo to wzniesienie w środku miasta było także wyjątkowej rangi przeszkodą.

W 1286 roku górka, która nie była jeszcze wtedy biskupią, znalazła się wraz z całym zespołem gruntów na zachód i południe od

miasta w rękach biskupów wrocławskich. W połowie XIV wieku zasiedlono między innymi wzgórze przylegające do Biskupiej od zachodu, tworzące z nim wręcz jedną, nierozrwalną całość. Powstała osada, z czasem nazwana – po niemiecku – Stolzenbergiem (niem. „Stolz” to dumny, wyniosły). Spolszczona wersja tej nazwy – to Stolcemberg. W 1945 roku pojawiło się miano Wysoka Góra, a dopiero od 1949 – Chełm. Tej ostatniej nazwy będziemy tu używać, mówiąc o osadzie.

Chociaż już w średniowieczu biskupie posiadłości były z sobą skomunikowane, mieszkańcy Chełma, kimkolwiek nie byli, zawsze bardziej interesował kontakt z Gdańskiem, leżącym u stóp Biskupiej Góry. Towar i praca, kupno i sprzedaż – wszystko ogniskowało

się na rynkach nad Wisłą i Motławą. Tymczasem masyw Biskupiej Góry tego kontaktu raczej nie ułatwiał. I tak narodziły się dwa obejścia tej naturalnej przeszkody. Jedno, dłuższe, południowe, wykorzystało rozpościerającą się pomiędzy Chełmem, Szkotami a Biskupią Górką szeroką dolinę, opuszczającą się ku należącej do gdańszczan wsi Zarosław (Petershagen). Drugie, północne, schodziło z niewielkiej przełęczy pomiędzy Biskupią Górką a Chełmem ku Gdańskowi, osiągając tuż nad kanałem Raduni wielkie żwirowe wyrobisko, nazwane z czasem Piaskownią (Sandgrube – dziś ulica ks. Rogaczewskiego).

Z Piaskowni gdańszczanie długi czas pobierali żwir i piasek, wykorzystywany do stawiania w mieście rozmaitych budowli. W XV

FOTO: ZBIGNIEW PIOTKA, POLSKIEGO



Widok na Chelm i Biskupią Górkę, widoczna charakterystyczna „serpentina” Pohulanki, ok. 1925

wieku rejon ten nosił już charakter otwartego gdańskiego przedmieścia, które służyło z pięknych, dobrze utrzymanych ogrodów. Środkiem tego przedmieścia biegła ulica (tak samo jak ono nazywana), której przedłużeniem była droga wspinająca się przez łąki i jęczyniska po stoku słabo wówczas zalesionej Biskupiej Górki na niewielką przełęcz, ledwo widoczną w ukształtowaniu terenu. Za nią rozciągało się chełmskie wzgórze. Już wówczas na wzniesieniu tym znajdował się młyn, karczma i kilka gburowskich gospodarstw.

Przy Piaskowni, nad kanałem Raduni miał swoją najstarszą lokalizację szpital i kościół św. Gertrudy. W 1563 roku przeniesiono go co prawda w inne miejsce, w rejon południowych rogatki miasta, jednak jeszcze po ostatniej wojnie przy ulicy Roga-

czewskiego 38/39 wznosił się tajemniczy gotycki mur, w którym Jerzy Stankiewicz, znakomity historyk architektury i urbanistyki Gdańska, domyślał się fragmentu dawnych zabudowań szpitalnych. Mur ten rozebrano w 1955 roku, nie sposób więc odnieść się jednoznacznie do tej hipotezy. Wiadomo jednak z księgi gruntowej Piaskowni, że na leżącej nieopodal posesji numer 42 jeszcze w 1776 roku mieścił się ogród z należącymi do jakiegoś szpitala budynkami. Miał tu swoje grunty także miejski lazaret.

Szpital przeniesiono w inne miejsce, bo Gdańsk już wówczas zamyślał o wzmocnieniu zachodniej linii fortyfikacji. A miały się wkrótce przydać, gdy potężne miasto spróbowało swoich sił w otwartych buntach przeciw polskim monarchom. W latach

1569-1570 mieszkańcy Gdańska i przedmieść z niepokojem spoglądali w kierunku Chelma, spodziewając się, że lada chwila wytyczoną pośród zbożza drogą ruszy na krnąbrne miasto polska husaria, piechota i artyleria, zgromadzone tam przez wysokiego królewskiego komisarza, biskupa Stanisława Karnkowskiego. W 1577 roku z wysokości Chelma na zbuntowane miasto spoglądał z kolei Stefan Batory, oczekujący pomyslnego zakończenia oblężenia. Nie tylko takie niebezpieczeństwa zagrażały wówczas Piaskowni. Kroniki wspominają, że na tym przedmieściu lubili się zatrzymywać zmierzający do Gdańska kuglarze. W 1568 roku jednemu z nich urwał się z łańcucha tresowany niedźwiedź, i srodze poturbował zgromadzonych widzów...

Na przedwojennym planie miasta można zaobserwować, jak trakty komunikacyjne „oplatają” Biskupią Górkę



FOTO: ZBIGNIEW PIOTKA, POLSKIEGO



FOTO ARCHIWUM PAŃSTWOWE GDAŃSK

Fragment planu z 1796 roku, zaznaczona Piaskownia (Sandgrube), a po prawej zarys drogi z Zaroślaka na Chełm

Jak już wspomnieliśmy, do Chełma można było dostać także od południa. Dolinę, którą biegła droga „południowa”, nazywano z czasem Doliną Biskupią (Bischofs-thal – nazwa przeniosła się z czasem na trakt – dziś ulica Stoczniewców), a zaliczana była do gruntów Chełma. Już na samym szczycie chełmskiego wzgórza droga „południowa” łączyła się z drogą „z północy”, bie-

gnącą od Piaskowni. W ten sposób zaciskała się na Chełmie swoista „pętla”, tworząc główny, komunikacyjny nerw osady i pompując w nią ożywcze soki gospodarczego kontaktu z możliwym emporium.

Ale gdańszczanie nie kochali partaczy z podmiejskich, kościelnych osad. Utrudniali np. komunikację między Starymi Szkotami i Chełmem, ponieważ łączyła się z trak-

tem Biskupiej Doliny droga ze Szkotów (dziś ulica Cmentarna) również przebiegała przez grunty Zaroślaka. Przed rokiem 1644 Rada Gdańska kazała ją zaorać i zabudować. Kilka lat później zrobiło się jeszcze gorzej. Jan Kazimierz, który spodziewał się wojny ze Szwedami, zachęcał Gdańsk, by przygotował się do obrony. Włodarzom miasta nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Nie oglądając

Widok Piaskowni, fragment ryciny Willera, ok. 1687

Bischofs-berg.



FOTO BG PAN

się na prawo własności biskupa, specjalnie powołana Rada Wojenna nakazała ufortyfikowanie Biskupiej Górki. Umocniono także pas Przedwała między Biskupią i Gradową Górą. Powstał wówczas wał, który odciął ogrody Piaskowni od podnóża Chełma. Później jeszcze na osi Piaskowni wybudowano bastion, któremu nadano miano Piaskowego i zabezpieczono go fosą. W ten oto sposób gdańszczanie upiekli dwie pieczenie na jednym ogniu: zabezpieczyli się przed najazdem i utrudnili gospodarczym konkurentom dostęp do gdańskiego rynku.

Właściciele chełmskiego gruntu, biskup i kapituła, włożyli wiele wysiłku, aby przywrócić dobrą komunikację między swoimi posiadłościami i miastem. Zasadniczą debatę na ten temat przeprowadzono w 1666 ro-

Piaskowego znajdował się spory plac, na którym kupcy z kościelnych osad – pod kontrolą miejskich urzędników – mogli handlować skórą i wyrobami podmiejskich garbarni. Czy – aby tam dotrzeć – kupcy ci musieli jechać aż do mostu nad fosą w otwierającej Nowe Ogrody Siedleckiej Bramie?

Dla Chełma przełom XVII i XVIII wieku to najlepszy okres rozwoju. W 1666 roku w samym środku osady założony został klasztor reformatów. Północną, najkrótszą krawędź dużego, liczącego około pół hektara klasztornego gruntu stanowiła droga z Gdańska (i Piaskowni), nazywana w akcie fundacji klasztoru „główną drogą publiczną”. To dzisiejsza ulica Lubuska. Wschodnia granica zakonnej parceli biegła wzdłuż dro-

(Grundgasse) lub po prostu Bischofsthal. U zbiegu tych ulic, na wysokości klasztornego gruntu wyrósł trójkątny rynek. W rynku tym skupiało się całe życie (i śmierć) kipiącej energią osady. Oprócz zabudowań klasztornych (po zachodniej stronie) mieścił się tu bowiem szpital i cmentarz (po stronie wschodniej), a od południa – już w czasach, gdy Chełm stał się miastem – ulokowano ratusz (przebudowany z prywatnego domu) i miejsce kaźni. Cmentarz w rynku nie był jedynym, który ulokowano przy drogach tworzących chełmską „pętlę”. Już w 1694 roku, w połowie drogi między Zaroślakiem, Starymi Szkotami i Chełmem, na stoku wzgórze, które z czasem nazwano Judenbergiem, założyli swój kirkut Żydzi, coraz liczniejsi w biskupich posiadłościach.



W miejscu, gdzie zbiegają się ulice Stoczniowców i Hirszfelda, kiedyś rozpoczynał się trójkątny rynek dawnej osady

ku. Rada Wojenna podjęła wówczas decyzję wytyczenia nowej drogi przez Piaskownię, a rok później trzy gdańskie ordynki ustaliły, że funduszy dostarczy tzw. kasa przychodów nadzwyczajnych, w kwocie 300 florenów. Nie jest jednak pewne, czy drogę – ze względu na wał, bastion i fosę – zdołano odnowić. Tak twierdzi co prawda plan rozgraniczenia gruntów miejskich i biskupich z około 1680 roku (umieszczono na nim informację, że w połowie drogi między Biskupią Górą i Nowymi Ogrodami „wychodzi droga z Piaskowni”, w domyśle – na Chełm). Akta z przełomu wieków pełne są jednak skarg, negocjacji i dalszych układów, w których stale przewija się postulat odblokowania dostępu z Chełma (i Biskupiej Górki) do Gdańska. Ale wiadomo też, że w pierwszej połowie XVIII wieku na majdanie Bastionu

gi publicznej „z południa” (Bischofsthal – Stoczniowców). W północno-wschodnim narożniku klasztornej posiadłości obie drogi łączyły się pod kątem prostym. A jest to chyba najwyższy punkt chełmskiego wzgórze, z którego dobrze widać miasto i za którym rozpościera się ostre obniżenie terenu ku wzgórzom nad Siedlcami. Pobożni reformaci zaznaczyli w akcie fundacji, że obie drogi publiczne prowadzą do Gdańska, nazywanego w tekście niezwykle obrazowo – „wschodnią plagą”.

Na początku XVIII wieku Chełm jest już tak ludny, że dawne gruntowe drogi zamieniają się w siatkę gęsto zasiedlonych ulic. Drogę prowadzącą z Gdańska przez Piaskownię nazwano – być może przez złośliwość – ulicą Długą (Langgasse). Droga przez Zaroślak nosiła miano Podwała

Na jednym z najwspanialszych widoków Gdańska (i okolic), wydanym przez spadkobierców Jeremiasa Wolffa w 1730 roku, niemal w całej okazałości prezentuje się przede wszystkim droga północna, od Chełma przez Piaskownię. Jest szeroka i przestronna, biegnie zupełnie gołym stokiem Biskupiej Górki ku miastu. Ruch na niej duży: piesi, konie, wozy. Ale dokąd zmierzają? Czy aż do mostu nad fosą przy Nowych Ogrodach? Na tym właśnie obrazie widoczny jest jeszcze jeden mostek nad fosą, tuż przed Bramą Siedlecką, wyraźnie osobny, a jednak również nie znajdujący się w osi Piaskowni. Zatem z tej panoramy wynikałoby, że nie tyle przez Piaskownię co poprzez jej przedłużenie – dzisiejszą ulicę Górka (Kannichenberg), istniała jeszcze jedna możliwość dostania się do miasta.



FOTO: ARCHIWUM PANSTWOWE GDAŃSK

Ruiny gotyckiego muru przy ulicy Rogaczewskiego. Został rozebrany w 1955 roku

W 1772 roku pruski zaborca uczynił z Chełma ośrodek konkurencyjnego miasta, zespolonego z czterech członów: prócz Chełma tworzyły go jeszcze Siedlce, Stare Szkoty i Święty Wojciech. To wtedy przy rynku pojawił się ratusz, który – zanim powstał osobny zbór ewangelicki – pełnił także rolę domu modlitwy luteran. Gęsto zasiedlona była zwłaszcza ulica Długa: koń-

czyła się w łuku wspomnianej przełęczy między wzgórzami. W tym miejscu był staw, brama nazywana Dolną oraz domek celników. Dalej, po stoku, droga – już bezmiejna – opuszczała się serpentyną w kierunku Piaskowni i Nowych Ogrodów.

Chełmską idyllę zakończyło oblężenie roku 1807. Broniący Gdańska pruski generał Kalkreuth nakazał spalenie przedmieść,

Plan Chełma z przełomu XVIII i XIX wieku. Główną ulicą była ulica Długa



FOTO: ARCHIWUM PANSTWOWE GDAŃSK

w tym także poczwórne miasto. Szlachcie z Niestępowa, Walenty Wolski, przypadkowy kronikarz oblężenia, widział „z największym żalem, jak się palił klasztor i kościół sztolcemburski XX. Reformatorów”, a z mury wanych jego budynków, jak również kościoła i ratusza niemieckiego „tylko mury i facjaty się pozostały, a ściany wewnętrzne zupełnie się aż do dna wypaliły”. W tych kilku marcowych dniach 1807 roku legła cała świetność miasteczka, a przy okazji – znaczenie i ranga dwóch prowadzących do niego traktów. Stały się teraz cmentarnymi drogami, bo już nie odbudowano nikomu niepotrzebnego Chełma. Dawne Podwałe (Biskupia Dolina), a teraz znów tylko gruntowa droga, przebiegała opodal żydowskiego kirkutu, obok którego, po 1815 roku, ulokowano także kolejny cmentarz protestancki dla Zaroślaka, czyli tzw. Nowy Salwator. Po cholery 1831 roku na zamienionych na kartoflisko gruntach Chełma umieszczono jeszcze jeden cmentarz, na którym śpiesznie pochowano kilka tysięcy ofiar tej epidemii. Jeszcze pod koniec XIX wieku okolice cmentarza na Chełmie były niemal pustkowiem.

W jakiej takiej kondycji trwała za to pełna ogrodów i uroczych zakątków Piaskownia, której oblicze stopniowo zaczęło się jednak zmieniać. Obok domostw zamożnych mieszkańców, kupców, senatorów, jeszcze przed 1809 rokiem pojawiła się rafineria cukru Heinrichsdorffa (Sandgrube 23). Już po wojnach napoleońskich, przed 1822 na przeciwko cukrowni pojawiła się fabryka tabaki, a w połowie XIX wieku przy Piaskowni umieszczono budynek landratury pruskiej, czyli tak jakby – starostwa (zaraz obok rafinerii, pod numerem 24).

Opublikowany w 1897 atlas Buhse'go pokazuje stan Piaskowni w tamtym czasie. Numeracja domów rozpoczyna się po południowej stronie ulicy, przy bastionie o tej samej nazwie. Domy stały tu gęsto, na zapleczu każdego był jeszcze rozległy ogród i różne oficyny. Pod numerem 17 mieściła się lokalna, ludowa szkoła. Pod numerem 24 wspomniana landratatura, a zaraz obok niej wykop z torami kolejowymi, prowadzący do dworca przy Promenadzie. Między wykopem kolei i kanałem Raduni stały jeszcze trzy domy z numerami 26-28, a za Radunią rozciągał się już Targ Sienny (jeszcze w 1822 nazywany Targiem Wołowym). W północnej pierzei, między Radunią i wykopem, domy miały numery 29-32. Za wykopem stały nie tak gęsto, więcej tu było placów i ogrodów. Pod numerem 41, w pewnym oddaleniu od ulicy mieściła się Szkoła Akuszerki. Jeszcze dalej, na zapleczu stojącej do dziś kamienicy numer 44 mieścił się jeszcze w 1867 – ale już nie w 1897, bo go z atlasu Buhse'go wykreśli-



FOTO BG PAN

Prawdopodobnie zabudowa przy ulicy Rogaczewskiego, naprzeciw budynku landratury, przy wykopie, którym biegły tory kolejowe

no – tajemniczy „Victoria-Theater”, opatrzone jednak numerem porządkowym sąsiedniej ulicy Kaninchenberg (Górka) 14. Za dzisiejszą ulicą Górka domy znów stały gęściej (45-51), a ostatnie budynki, opatrzone numerami 52-54, rozciągały się już za niewielką uliczką, nazywaną Małą Piaskownią (Kleine Sandgrube).

W latach 1885-1886 przy Piaskowni, w miejsce między innymi szkoły, na gruntach lazaretu, zbudowano Miejski Szpital Chirurgiczny z dwoma skrzydlami i okazałym dziedzińcem, nadając budynkom cechy neorenesansu francuskiego. Jak na owe czasy szpital posiadał imponującą liczbę 220 łóżek. Opieka pielęgnarska należała

do siostr z ewangelickiego Stowarzyszenia Diakonis. Mieściło się tu też pierwsze w mieście pogotowie ratunkowe. Około 1910 roku, gdy powstał nowy jeszcze większy szpital miejski opodal Wielkiej Alei (dzisiejsza Akademia Medyczna), w budynku szpitala przy Piaskowni zorganizowano przytułek dla nieuleczalnie chorych, zwany

Nieistniejący budynek landratury przy ulicy Rogaczewskiego

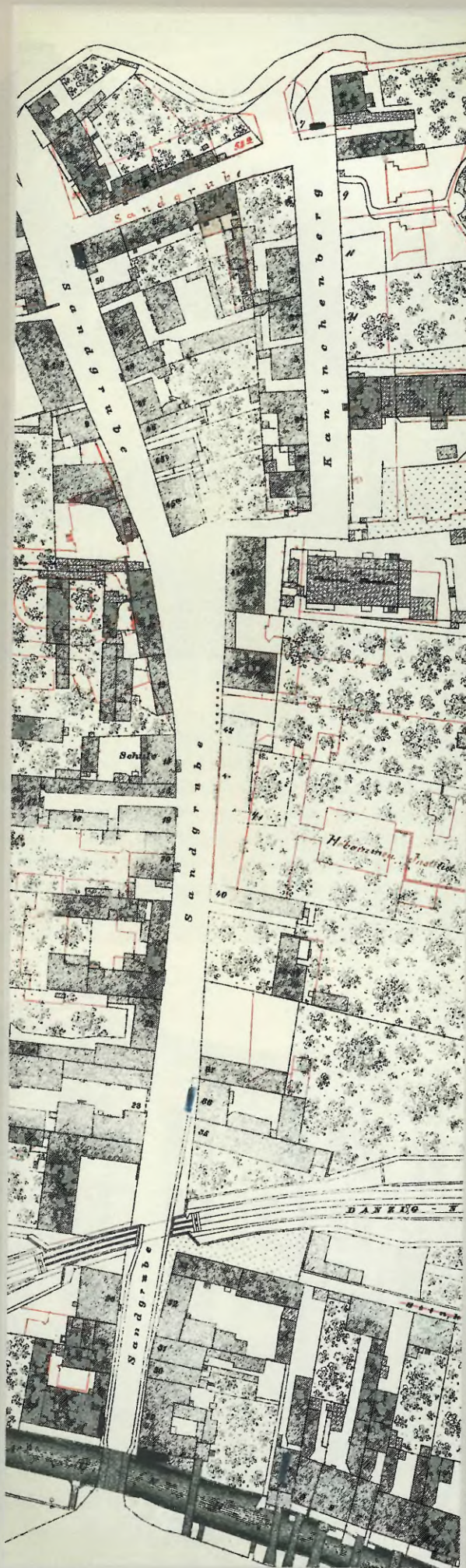


FOTO BG PAN

też potocznie domem starców. W takim kształcie Piaskownia dotrwała do I wojny światowej.

Demilitaryzacja miasta związana z przekształceniem Gdańska w Wolne Miasto miała ogromne znaczenie dla ponownego powiązania rozłączonych w XVII wieku części dawnego traktu. Droga rozpoczynająca się za Bramą Siedlecką (w miejscu, gdzie Nowe Ogrody przechodzą w ulicę Kartuską) i wspinająca się serpentyną po stoku Biskupiej Górki aż na przełęcz ku Chełmowi (tam, gdzie niegdyś stała chełmska Dolna Brama) już na planie z 1921 roku łączy się ponownie z Piaskownią. Gdy w połowie lat trzydziestych na Chełmie pojawiła się podmiejska zabudowa skromnych osiedli robotniczych, bezmiennej dotąd serpentynie na stoku wzgórza nadano nazwę Stolzenberger Weg, czyli ulicy Stolcemberskiej. Kończyła się u progu Chełma – tam gdzie niegdyś czatowali celnicy, dalej zaś – jak w XVIII wieku – ciągnęła się Stolzenberger Langgasse – „Chełmska ulica Długa” – nazwana tak dla odróżnienia od prawdziwej Długiej, na Głównym Mieście. Niewielka kamienica, którą przed wojną zbudowano w tym miejscu (numer 42, dziś w ciągu ulicy Lubuskiej), zaczynała się przy Długiej, a kończyła już przy Stolcemberskiej. Obok niej było tu więcej domów. Pojawiły się przy Langgasse i Bischofsthäl, a budowano je w stylu robotniczych fundacji z Wrzeszcza (np. Stoczniovców numer 35/37). W części były to zwykłe baraki, czworaki i altany.

W okresie międzywojennym jeszcze jedna wielka inwestycja uzupełniła układ ulic powstałych na kanwie starego traktu. W ramach podziału mienia niemieckiego, zwłaszcza o przeznaczeniu militarnym, Polonia Gdańska uzyskała półtora hektara gruntu w rejonie dawnego Bastionu Piaskowego. Między czerwcem 1931 a październikiem 1932 roku bastion częściowo rozkopano i zniwelowano. Został tu ulokowany nowy kościół – i parafia personalna – pod wezwaniem Chrystusa Króla. Jej pierwszym rektorem został ks. Franciszek Rogaczewski, dziś męczennik i błogosławiony, którego imię miała już wkrótce – po wojnie – przyjąć Piaskownia. Choć kościół bardziej leżał przy Stolzenberger Weg, przypisano go do Sandgrube, nadając numer 55.



Żwirownia na planie Bushe'go z 1897 roku

Zniszczenia 1945 roku w różnym stopniu dotknęły te okolice. Chyba najbardziej odmieniła swój wygląd Piaskownia, czyli dzisiejsza ulica ks. Rogaczewskiego. Pośród wielu domów, które legły w gruzach, znalazła się przede wszystkim landratura, położona zbyt blisko kolei i centrum. Jej fundamenty kryją się obecnie pod jezdnią ulicy 3 Maja. Znikły też charakterystyczne skrzydła dawnego szpitala – domu starców. W ocalałym gmachu głównym ulokowano siedzibę dyrekcji Lasów Państwowych i kilku innych przedsiębiorstw. Serpentynie na Chełm też zmieniono nazwę – ze Stolzenberger Weg na Pohulanekę. Miały swoje Pohulanki Wilno i Lwów, miał teraz i Gdańsk, który przyjął w swoje mury tyłu przesiedleńców z obu kresowych stolic. W staropolskim języku termin „pohulanek” oznaczał karczmę, zatem nazwa miała nawiązywać do przeszłości Chełma i z Chełmem – dawnym Stolzenbergiem – była nade wszystko kojarzona. „Stolcemberską Długą” nazwano Lubuską, ale dzisiejsza ulica Stoczniovców przez pewien czas nazywała się Pilicką.

Lubuska i Stoczniovców pełne są dzisiaj kontrastów. Stoją tu np. domy-baraki dla uciekinierów z terenów objętych podczas wojny bombardowaniami (Stoczniovców 29-33, w miejscu dawnego reformackiego cmentarza). Całkowitemu zatarciu uległ kształt trójkątnego rynku. Dziś jest to zwykle skrzyżowanie ulic Stoczniovców i Hirszfelda, przy którym domy są również mało okazałe. Na przyległym doń dawnym terenie klasztornym, a później cmentarzu ofiar epidemii cholery, rośnie dziś park, a w nim – obok wielokrotnie przebudowywanej kaplicy cmentarnej – wzniesiono niedawno nowy kościół pod wezwaniem Podwyższenia Świętego Krzyża. Poniżej Chełma zupełnie zniszczył żydowski kirkut, a przecież jeszcze kilkanaście lat temu można tam było spotkać całe, choć poobalane macewy. Żyje natomiast – jeśli tak można powiedzieć – cmentarz Nowy Salwator, z wciąż odświeżanymi grobami zmarłych. Doceniono też urbanistyczny walor dawnej Biskupiej Doliny, a dziś ulicy Stoczniovców – pełno tu willi i eleganckich domów. Willowe budynki wznoszą się także od niedawna przy Lubuskiej. Natomiast serpentyna Pohulanek stała się znakomitą skrótową do centrum. Zwłaszcza



FOTO: S. KOSCIELAK

Współczesna zabudowa przy ulicy Stoczniowców, widok w kierunku Chelma

w godzinach szczytu można tędy dotrzeć bardzo szybko do Nowych Ogrodów. Od 1980 roku nie łączy się już ona z ulicą ks. Rogaczewskiego. Budowa szerokiej dwupasmówki – z miejscem na tramwaj – czyli

alei Armii Krajowej raz na zawsze odmieniła oblicze tej części miasta.

I tak oto w tej wielkiej drogowej pętli, istniejącej do dziś – a jakby innej – mieści się spory kawałek dziejów kilku części dzisiej-

szego Gdańska. I zmieściło się jeszcze coś więcej: historia kontaktu między społecznościami, które przez tyle stuleci – nie mogąc bez siebie żyć – szukały nieustannie najodpowiedniejszego sposobu komunikacji. ■

Na „serpentyńnię” Pohulanki zachował się dawny bruk



FOTO: S. KOSCIELAK

Tekst: Krzysztof Figel

WIELKA WODA



Gdańsk oraz jego okolice wielokrotnie były doświadczone skutkami powodzi, jakie miały miejsce w delcie Wisły. Najstarsze zachowane informacje o powodziach w tym regionie sięgają 1328 roku. Wzdłuż dolnej Wisły, niekiedy cyklicznie, powtarzały się wielkie wylewy rzeki, bądź wdzieranie się wzburzonego Bałtyku na obszar Żuław. W ostatnim pięćsetleciu odnotowano blisko sto pięćdziesiąt katastrofalnych powodzi. Można śmiało przyjąć, iż zdarzały się okresy, kiedy żywioł pustoszył Pomorze Nadwiślańskie co trzy-cztery lata.

My, współcześni mieszkańcy tych terenów, wiemy niepokojąco niewiele na ten temat. Dlatego często bagatelizujemy potencjalne zagrożenie. Takie konsekwencje przyniosło zerwanie ciągłości osadniczej i kulturowej obszarów położonych wzdłuż Wisły Pomorskiej, a także długotrwały proces, który zapoczątkowały masowe migracje ludności po zakończeniu II wojny światowej. Przekazywana przez pokolenia tradycyjna świadomość zagrożeń i wiedza o zmaganiach naszych poprzedników z groźnym i nieobliczalnym żywiołem wodnym uległy najpierw rozproszeniu, a po latach zupełnemu zapomnieniu.

Jedyne materialne symbole, które informowały o wielkich historycznych powodziach, tzw. znaki wielkiej wody, w znikomej liczbie uchowały się przed współczesnymi barbarzyńcami w niektórych miejscowościach wzdłuż biegu dolnej Wisły. W Gdańsku pozostało ich sześć, a to plasuje nasze miasto w krajowej czołówce, jeśli chodzi o zachowanie takich zabytków. Znaki wielkiej wody najczęściej były estetycznie wykonanymi kamiennymi lub żeliwnymi tablicami, które zaopatrzone w daty i napisy w języku niemieckim. Zaznaczono też na nich (wyrażony w stopach pruskich i calach) poziom, jaki woda wtedy osiągnęła. Dawni mieszkańcy Pomorza w ciekawej i czytelnej formie utrwalali informacje o katastrofalnie wysokich stanach wezbranych wód.

Mieszkańcy Pomorza Nadwiślańskiego przez stulecia oswajali się z zagrożeniami, które niesie woda. Warto tu przypomnieć, że w wielu sporach naukowych o pochodzenie pierwotnej nazwy miasta „Gydanysz”, zapisanej pod datą 997 roku w „Żywocie św. Wojciecha”, często powtarzana jest teza, iż etymologię tego słowa należy wiązać z wodą lub bagnem i łączyć z historycznymi mieszkańcami tych obszarów, czyli Gotami, Prusami lub Łotyszami. Już w średniowieczu mieszkający przy ujściu Wisły nauczyli się żyć z zagrażającymi im powodziami. Gospodarstwa budowali na wzniesieniach i zabezpieczali je obwałowaniami od strony cieków wodnych. Stopniowo obwałowania łączono w ciągi wałów, które już z końcem XIV wieku wypełniały krajobraz od Gdańska aż po Grudziądz. Na początku XV wieku wielki mistrz Zakonu Krzyżackiego Konrad von Jungingen, jako jeden z pierwszych władców w Europie, wprowadził na tych terenach „prawo wodne”, które określało obowiązek utrzymania wałów i kanałów nawadniających.

Ale nadeszła seria katastrofalnych powodzi, które spowodowały masowe opuszczanie obszaru Żuław Wiślanych. Musimy pamiętać,

Ujście Przekopu Wisły do morza, 2005



FOTO: RG PAN

Przełom Wisły w 1840 roku koło gdańskich Górek, litografia według rysunku Gottheila

że do końca XIII wieku te tereny znajdowały się w większości poniżej poziomu morza. Istniała więc realna groźba, iż człowiek przegra walkę z kapryśnym żywiołem. Z końcem XVI wieku Żuławy zasiedlili mennonici, religijna grupa wolnych rolników i rzemieślników z Holandii, którzy byli doświadczeni w wydzieraniu łąd morzu. Holenderscy osadnicy słynęli z pracowitości i rzetelności. Sypali nowe groble, budowali tamy i kanały, wzbogacili też krajobraz Żuław o liczne i pożyteczne wiatraki. Wielkim nakładem pracy i trudu uzyskano niezwykle żyzne ziemie, leżące na depresyjnych polderach. Żuławscy Olędrzy, jak ich z czasem nazywali polscy sąsiedzi, stworzyli rozbudowany system kanałów nawadniających i poprawili stan techniczny wałów przeciwpowodziowych. Zorganizowali także społeczny i nadzwyczaj skuteczny system służby przeciwpowodziowej, który z czasem przeobraził się w Związki Wałowe. Ta do-

skonałe funkcjonująca organizacja przetrwała wieki, aż do 1945 roku.

W XVII wieku Wisła stała się jedną z najważniejszych dróg wodnych ówczesnej Europy. Była główną arterią handlową Rzeczypospolitej, łączyła Gdańsk z dorzeczami Bugu, Narwi i Sanu. Największą ilość zbóż i towarów leśnych spławiano rzeką w okresie tzw. pierwszej wody wiosennej. Drugi znaczny spływ statków i tratw (zwany drugim spustem), odbywał się jesienią, ale miał mniejsze znaczenie gospodarcze od wiosennego. Zboże transportowane wiosną pochodziło ze zbiorów z roku poprzedniego. Młócono je jesienią i zimą, dostarczano nad brzeg rzeki, często przechowywano w spichlerzach, a wiosną wysyłano do Gdańska. Śpieszono się zwykle ze spławem, w nadziei, że po zimie uzyska się najkorzystniejsze ceny. Mieszkańcy 50-tysięcznego Gdańska, wielkiego europejskiego portu zbożowego,

zawsze z uwagą obserwowali stan wód wiosennej rzeki. Każda niszczycielska powódź mogła zakłócić dostawy, zniszczyć portową infrastrukturę, a tym samym odbić się na dobrobycie miasta.

To współzycie rzeki i ludzi uległo poważnemu załamaniu w stulecie wojen, które rozpoczęło się w XVII wieku. W miarę wyniszczających kampanii – często uczestniczyły w nich obce i najemne oddziały – zaniedbano konserwacji urządzeń przeciwpowodziowych w delcie Wisły. Brakowało czasu i pieniędzy na modernizację całego skomplikowanego systemu hydrotechnicznego. Tymczasem w latach 1645-1715 nastąpił okres wyjątkowo małej aktywności słońca, co w połączeniu z potężną erupcją wulkanu Grimsvotn na Islandii, która zniszczyła blisko jedną trzecią powierzchni wyspy, spowodowało znaczące ochłodzenie klimatu w tej części Europy, określane mianem tzw. małej epoki lodowcowej.

Nastąpiły powtarzające się cyklicznie lata długotrwałych i ostrych zim oraz deszczowych wiosennych i letnich miesięcy. Te niekorzystne zmiany klimatyczne przyniosły kolejne fale powodziowe, które w XVII i XVIII wieku dotknęły zlewisko Wisły. Kapryśna rzeka stawiała się coraz większym zagrożeniem dla mieszkańców Pomorza Nadwiślańskiego.

Jedną z największych powodzi, z jaką przyszło się zmierzyć mieszkańcom Gdańska i delty Wisły, miała miejsce w 1829 roku. Nikt nie przypuszczał, że zima 1828/1829 spowoduje klęskę. Jednak po okresie temperatur, które dochodziły do minus 30 stopni Celsjusza, i wyjątkowo dużych opadach śniegu, w marcu przyszła zmiana pogody. Nagłe ocieplenie dotknęło rejonu Dolnej

Jeden z tzw. znaków wielkiej wody pozostał na murze budynku dzisiejszego Centralnego Muzeum Morskiego na Ołowiance





FOTO: BG PAN

Otwarcie Przekopu Wisły, 31 marca 1895 roku

Wisły. Odwilż ogarnęła również obszary górnej Narwi i Wkry. Wezbrane wody tych rzek spływały ku Wiśle i spowodowały błyskawiczny wzrost jej stanu w okolicach Warszawy. Zjawisko miało gwałtowny charakter. Lody ruszyły i parły w dół rzeki, której poziom przez kilka godzin podniósł się o cztery metry. Wkrótce pod naporem wezbranego żywiołu zawalił się most w Toruniu. Pierwsze sygnały świadczące o nadciągającym nieszczęściu, jak pękanie wałów przeciwpowodziowych, gdańszczanie zlekceważyli. Liczyli, że w najbardziej pesymistycz-

nym wariacie wody zaleją co najwyżej obszar Żuław.

W nocy z 8 na 9 kwietnia 1829 roku stało się najgorsze. Znad wybrzeży Anglii nad Zatokę Gdańską nadciągnął potężny atlantycki orkan. Prędkość wiatru dochodziła do 200 kilometrów na godzinę. Wody z morza parły na ujście Wisły, uderzając w zwały kry i hamując ich spływ. Spiętrzone zatorem lodowym wody Wisły niszczyły wały, przerywając je – między Toruniem i Tczewem – aż w osiemdziesięciu miejscach. Gdy rankiem 9 kwietnia pękły za Tczewem, w dół delty Wi-

śły runął żywioł, pędząc 10 tysięcy metrów sześciennych wody na sekundę. Było to dwa razy więcej niż niosła Odra podczas znanej powodzi z lata 1997 roku. Katastrofalna powódź objęła błyskawicznie cały rejon Żuław Wiślanych, a wieczorem jej pierwsza fala dotarła do Gdańska.

Uderzenie nadciągnęło doliną rzeki. Żywioł rozerwał zamknięte wrota Kamiennej Śluzy, która przegradzała nurt Motławy. Wlewał się przez wyrwy w szańcach i południowych bramach. Rwący potok zaczął wypełniać ulice i zaułki Dolnego Miasta

Zalane domy pod Gdańskiem po powodzi na Żuławach spowodowanej przez Niemców w 1945 roku



FOTO: ZBIGNIEW KOSYGAŃCZAK / ARCHIWUM MP



FOTO: ZBIGNIEW KOSIŃSKI / ARCHIWUM KFP

Kruszenie lodu na Wiśle pod Kieźmarkiem, 1979

i przedostawał się na Głównie Miasto. Kiedy rankiem następnego dnia rozpoczęła się narada u burmistrza Joachima Weickhmanna w Ratuszu Głównomiejskim, pod wodą znalazły się już pierwsze dwa stopnie schodów prowadzących do budynku. Wkrótce śródmieście położone nad brzegami Motławy i kanału Raduni zalane zostało aż po dachy domów. Ponad poziom wody wystawała tylko górna część cokołu, na którym stoi dzisiaj gdański Neptun. Całe Dolne Miasto znalazło się pod wodą, która sięgała wysokości drugiego piętra, a Ołowianka na Motławie właściwie przestała istnieć.

Wielkim zagrożeniem były składy drewna. Prąd porywał pnie i belki, i taranował ni-

mi różne urządzenia portowe. Najtragiczniejsze okazało się trzecie i ostatnie uderzenie Wisły, które zniosło do morza część wsi Wisłoujście. Żywiolowi oparła się jedynie twierdza, ale i tam woda sięgała na wysokość metra ponad powierzchnię dziedzińca. Ocalały jedynie rejony miasta położone na wzniesieniach, tj. głównie zachodnia część ówczesnego Gdańska.

Wezbrane wody ustąpiły dopiero 28 kwietnia. Powołana przez pruski parlament specjalna komisja oszacowała ogólne straty na sumę 2 milionów talarów. 11 tysięcy ludzi na Żuławach i 12 tysięcy mieszkańców Gdańska (a mieszkało tu wtedy 66 tysięcy osób) zostało pozbawionych dachu nad głową. Na Żuławach doliczono się oko-

ło trzydziestu ofiar. Byłoby ich bez wątpienia dużo więcej, gdyby nie przekazywana przez pokolenia pamięć o tragicznej powodzi sprzed trzystu lat, kiedy zginęło blisko 5 tysięcy ludzi. Nauczani doświadczeniem przezorni mieszkańcy Żuław trzymali łodzie przy swoich gospodarstwach, co umożliwiał im sprawna ewakuację (razem z inwentarzem) w kierunku murów Gdańska. Winą za katastrofalne skutki powodzi władze pruskie obciążyły gdańskich urzędników. Twierdzono, nie bez racjonalnych argumentów, że należało natychmiast przerwać północny odcinek wału na dziesięć kilometrów przed miastem. Część wody opuściłaby Żuławę i wróciła do pierwotnego koryta rzeki.

Śmiała Wisła

Od połowy stycznia 1840 roku sparty się lody średniej Wisły naniesione w tożą Leniwki około rybackiej wioski Neufähr w miejscu, gdzie Mierzeja jest najwyższą; równocześnie utworzył się zator z kry na początku Szkarpawy i Nogaty. Wisła nie mając w ten sposób kędy ulać wód swoich wezbrała w brzegach i zagrażała zniszczeniem całej okolicy, wzięwszy całą potęgą swych wód wagę na Leniwkę. Aż 1 lutego 1840 r. w nocy wyrznięła się nowym korytem wprost ku morzu około wioski Neufähr, przerwawszy zaspę ruchomego piasku Mierzei. (...) To nowe koryto Wisły nie ma dotąd nazwiska: a że się nim Wisła tak pocziwie i rażno ku morzu przebrała, nazwijmy ją tutaj „Wisłą Śmiałą”. (...)

Podróżując po tej okolicy odszukałem rybaka, który pierwszy tym nowym ujściem Wisły od wioski Neufähr przepłynął na morze i w krótkim czasie podał wiadomość do Gdańska o szczęśliwym przerwaniu Mierzei. (...)

Był to człowiek bardzo rozgarnięty i humorystycznego usposobienia. Kiedym go tedy wypytawał o szczegóły owej pamiętnej nocy, rozjaśniła się twarz jego jak żołnierza, który prawi o wygranej bitwie! Poznałem się z nim w piwnicy gdańskiej przy śniadaniu. „Widzisz Waćpan – rzekł do mnie po kilku kieliszkach kseresu – żebyś Waćpan to zrozumiał, co tu opowiem, trzeba naprzód wiedzieć o tym, że każda Żuławianka ma ocz dwoje, a każdy Żuławiak nos jeden. Otóż Żuławianka patrzy jednym okiem wiecznie na zegar, a drugim okiem do garnka, bo wszystko musi być na minutę gotowe i podane; każdy zaś Żuławiak trzyma nos na wodoskaziu i patrzy jak bocian milcząc na wodę... W miarę zaś tego jak się woda pod-



FOTO: ZBIGNIEW KOSCIŁAŃSKI / ARCHIWUM KMP

Podtopienia na Żuławach (Wyspa Nowakowska), 1983

Straty były ogromne i pogłębiły regres gospodarczy Gdańska i jego rolniczego, żuławskiego zaplecza. Musiało minąć prawie pół wieku, by miasto podniosło się ze zniszczeń. Ale skala strat zmusiła władze pruskie do działania. Postanowiono uregulować Wisłę. Zaproponowano Rosji współdziałanie, jednak car Aleksander II zignorował niemiecką ofertę. W 1840 roku na Wiśle w pobliżu Płoni znowu utworzył się olbrzymi zator lodowy, który uniemożliwiał spływ wody w kierunku Wisłoujścia. Spiętrzone masy przerwały wówczas nabrzeżne wydmy i znalazły ujście do morza. To nowe ujście nazwano u nas Wisłą Śmiałą, a znalazło się około ośmiu kilometrów na wschód od Gdańska.

U schyłku XIX wieku wyprostowano wreszcie końcowy odcinek rzeki. Nowe koryto poprowadzono wprost do morza, a nazywano Przekopem Wisły. Ujściowy, sztuczny odcinek ma długość 7 kilometrów i szerokość 250-400 metrów. Został zabezpieczony wałami i uregulowany śluzami żeglugowymi i wrotami przeciwpowodziowymi od Martwej Wisły, Szkarpawy, a także Nogatu. Dzięki Przekopowi powstała Wyspa Sobieszewska i port rybacki w Świbnie. W 1895 roku zakończono prace, uroczystie otwierając nowe ujście rzeki, które było jednym z największych przedsięwzięć hydrotechnicznych XIX-wiecznej Europy. Zmalała wprawdzie groźba wielkich powodzi, jednak zagrożenie wciąż istnieje.

Koniec II wojny światowej przyniósł zmiany na gorsze w tej – wydawałoby się uregulowanej – sytuacji w delcie Wisły. Pierwszym sygnałem nadchodzącego zameętu, wiosną 1945 roku, było wysadzenie przez Niemców systemu śluz i urządzeń hydrotechnicznych na Żuławach przed nadciągającą Armią Czerwoną. W następnych latach, nie usuwając wszystkich strat wojennych, zaprowadzono nowy, niesprawny i centralnie sterowany system zabezpieczania ujścia Wisły przed skutkami powodzi. System ten okazywał się bezradny wobec błyskawicznie zmieniającej się pogody. Przestała istnieć organizacja Związków Wałowych, a wały stopniowo starzały się bądź ulegały dewastacji. Według raportu Najwyższej Izby Kontroli

nosi, spuszcza się nos coraz potężniej – a jak już grzbietu grobli sięga woda, wówczas dopiero z bydłem na statki, a z żoną i dziećmi na dachy! Pieniądze, że są w złocie i srebrze, a w głębokiej piwnicy schowane, nie lękają się powodzi i doczekają się znowu lepszych czasów.

Otóż woda podnosiła się na Wiśle od tygodnia coraz wyżej i sięgała już do dwudziestu dwóch stóp nad zwykły stan, a że najwyższe groble żuławskie wznoszą się do dwudziestu czterech stóp tylko, zwisały nosy bogatych Żuławian i sięgały już wody jak dzioby bocianie! Póki dzień to jeszcze pół biedy, ale jak noc nadchodziła, rosła trwoga w całej okolicy i coraz wyżej przywiązywano czółna przy palach u domów. Całe Żuławy były podobne do wielkiego obozu, bo po groblach palono wielkie ogniska, aby się na nie kierować w czasie potrzeby i widzieć nawet nocą, czy się woda wznosi czy opada? Latarnie migły się około każdego wodokazu... I we dnie

tylko kładli się ludzie do snu! Ogniska te nakładano już z łodzi i zdało się, że lada chwila cały świat pójdzie pod zator! Wszystkie pompy były zalane... Na łąkach ustał ruch wiatraków, młynów i tartaków... W łąkach, nawet otoczonych nieprzerwanymi groblami, podnosiło się coraz wyżej zwierciadło wody... i rozlały się całe jeziora w miejscu, gdzie niedawno łąki jeszcze były! Bydło na statkach ryczało straszliwie! Ludzie ledwo już żyli od trwogi! Tymczasem przychodziły sztafety z Krakowa i Warszawy co chwila, że lody na górnej Wiśle zniosło i że kra niepamiętna idzie i wielkie spory robi!

Nie była to pomyślna wiadomość, bo kry własnej mieliśmy pod dostatkiem, a z przybytkiem nowej nie było ratunku dla Żuław! Gdańsk i możniejsi właściciele tak Gdańskich, jak Malborskich Żuław utrzymywali wielkim kosztem pocztę łódek, które co chwila donosiły wiadomości o stanie wody i krach. (...) Wielkie były zatory, ale niczym w porównaniu zatoru, który utworzył się pod naszą wioską rybacką



FOTO: ZBIGNIEW KOSTURCZAK / ARCHIWUM KFP

Zalane domostwa na Żuławach, 1983

z początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku „prawie wszystkie z 1776 hydrotechnicznych budowli regulacyjnych na obszarze Niziny Tezewskiej wymagają remontu”. Na terenach zalewowych, na których znajduje się między innymi Rafineria Gdańska, sytuacja jest często gorsza od tej z 1829 roku. Nie dbając o sprawne zabezpieczenia przeciwpowodziowe, wzniesiono infrastrukturę, wbudowując niejako „przy okazji” budynki gospodarcze w korpusy istniejących starych wałów przeciwpowodziowych.

Przed kilku laty przeprowadzono ćwiczenia „Żuławy 2003”, które miały symulować

zagrożenie wodnym żywiołem. Ćwiczenia te wykazały, że urządzenia hydrotechniczne, które powinny być absolutnie sprawne i funkcjonować natychmiast w razie zagrożenia, „nie zadziałały w ogóle”. Sprzęt przeznaczony do ewakuacji ludzi – zwłaszcza małe łodzie i pontony – „był nie do użytku, nie tylko w przypadku powodzi, ale w normalnie płynącej rzece”. Sprzętem tym można się było co najwyżej zabawić na pokaz. Do ewakuacji ludzi nadawały się jedynie ciężkie amfibie wojskowe. Ćwiczenia te wykazały, że nie jesteśmy przygotowani do groźnej, a jakże realnej powodzi na Żuławach.

Maleje wytrzymałość wałów i zawodność niezbędnej infrastruktury. A zbiega się to z niekorzystnymi zmianami klimatycznymi w tej części Europy. Badania dowodzą, że wraz ze wzrostem poziomu wód oceanu światowego, podnosi się poziom południowego Bałtyku. Najbardziej zagrożone są u nas tereny Żuławy, czyli ponad 1700 kilometrów kwadratowych położonych pół metra poniżej poziomu morza. W Gdańsku w ostatnich osiemnastu latach poziom morza wzrósł o 18,4 centymetra. W tym czasie zaobserwowano również coraz częstsze spiętrzenia sztormowe. Szacunkowe pro-

na Leniwcę i na którym się cała powódź sparta. Niebezpieczeństwo było wielkie dla tych pocztowych łódek i ostatnich dni placono już każdą wiadomość po trzy dukaty złotem: bo ledwo czterech ludzi mogło kierować łódką, a nadto trzeba się było przerabiać pomiędzy pojedynczymi krami, które ciągle jeszcze woda niosła, zabierając je teraz już z powyższych brzegów, na których uprzednio były siadły...

Noc zapadła. Żona zaklinała mnie na Boga, abym pozostał w domu! Dzieci płakały... Ale mnie coś gnało na wodę! Zostawiłem tedy żonie kilkodzienny zarobek w złocie, a że rybacka chata nasza leżała wysoko bardzo na brzegu, oparta o pieszczysty pagórek zaspy, wiedziałem tedy, że żadna woda jej tu nie dosięgnie, chyba by Bóg nowy potop zesłał na świat, więc kazałem żonie palić przez całą noc ognisko przed naszą chatą, a sam po wieczery wzięwszy manierkę holenderskiej jałowcówki, którą sobie przywozłem z Gdańska, kapszuszka dobrego tytoniu i ogień pewny z sobą wyruszyłem jeszcze z trze-

ma towarzyszami na wody... Nie wiem, co mnie parło, ale znać już szczęśliwa gwiazda moja mnie wiodła, bo kierowałem łódką ku zatorowi kry, która całą szerokość rzeki zaległa jedną lodową skałą. Noc była straszna i ciemna. Zdala już szumiały wody na zatorze i kry nowe się tarty i gwizdały przykro, które świeżo na zator zniosła woda...

Była chwila jakiegoś odurzenia i zglupienia... Przestaliśmy robić wiosłami, ale łódź naszą, która była łodzią morską z dętymi bokami, niosła woda na zator, choć nikt wiosłem nie robił.

– »Kra nas zmiele na zatorze« – krzyknął jeden z towarzyszy moich. »Zawracaj na sterze« – krzyknął drugi. Ale już było za późno, bo w tej chwili poczęła kra pękać i strzelać, jak gdyby z dział bito... A równocześnie rozległ się straszny huk i szum w powietrzu, jak gdyby się cała ziemia trzęsła! Po kilku takich uderzeniach poczęła straszliwie bujać nasza łódka, a to tak bardzo, że i na otwartym morzu w czasie najpiękniejszej burzy nie powstają większe fale i nie rzucają bardziej łódką!



FOTO: MARCEJ KOSYCARZ

Wiślany wał przeciwpowodziowy w okolicy Kiezmarka, 1997

gnozy mówią o wzroście poziomu Bałtyku w tym rejonie co najmniej o pół metra w nadchodzącym stuleciu. Bardziej intensywny będzie też proces cofania brzegu morskiego, wystąpią zalania przybrzeżnych obszarów, wzrośnie poziom wód gruntowych i wielkość obszarów bagiennych. Powstanie konieczność zmiany użytkowania wielu terenów. Przy dużych sztormach woda „przeleje się” w głąb lądu.

Według tych przewidywań pod wodą mogą się znaleźć: Rewa, Mechelinki, Rzućewo i nadmorskie dzielnice Gdańska. Niekorzystne zmiany niesie również inten-

sywność opadów. W najbliższych latach proces ten będzie gwałtowny, podobnie jak nawrót bardziej surowych zim. Narasta stożek delty Wisły, który może hamować spływ lodu. Wędrująca rzeką kra, zimą zatrzymuje się na pływaczach i wyspach powstających u ujścia. W okresach zimowych, gdy utrzymują się ujemne temperatury, płytkie ujście szybko zamarza. Istnieje więc niebezpieczeństwo powstania lodowego korka, który może spowodować spiętrzenie wód rzeki i zatopienie Żuław oraz aglomeracji gdańskiej. Nawet jeden z wymienionych czynników może obudzić

żywiol i wywołać kataklizm, który – jak zapisano w jednej z kronik z początku XX wieku – „dotrze do miasta niczym jeździec na chyżym koniu”. ■

Wykorzystano:

Opracowania doc. dr J. Makowskiego z IBW PAN;

Klim R., „Znaki wysokiej wody”, [w:] „Teki Gdańskie”, Gdańsk 2001;

„Nie jesteśmy przygotowani”, „Dziennik Bałtycki” 13 VII 2004;

„Pomorze Gdańskie 1807-1850”, Wybór źródeł, Wrocław 1958.

Aż dotąd płynęliśmy silnie niesieni powodzią, ale po spokojnym zwierciadle... teraz rozwarła się morska topiel szumna, fale biły wysoko i rzucały tódką gwałtownie. Chcieliśmy obrócić i płynąć pod wodę, ale do tego nie było już siły. Więc puściliśmy się z prądem wody i fali oczekując tego, że się lada chwilę o zator rozbijem. Ale kra przerwała Mierzeję w najwęższym jej pasie. Po kilkunastu minutach wyniosła nas gwałtowność powodzi na otwarte morze. I od razu uspokoiły się fale, gdyśmy nowy włom Mierzei pominęli. Gwałtowny prąd daleko odniósł nas na stronę, a okrążywszy morzem na kilkadziesiąt węzłów marynarskich przybiliśmy na mieliźnie do lądu Mierzei od strony morza. Tu wyciągnąwszy tódkę na piasek przeprawiliśmy się przez piaszczyste pagórki Mierzei do naszej wioski na powrót pieszo, bo strach było w gardło tej nowej odnogi, która z całą gwałtownością krę i powódź niosła, płynąć na powrót pod wodę. Po ognisku kierowaliśmy się do chaty. Tu przybywszy przesiedliśmy

się w łódź nową, i ja to byłem, mój panie, który Gdańskowi i Żuławom przyniosłem pierwszy wieść o przerwaniu Wisły i o tym, że niebezpieczeństwo minęło. Nie darmo tedy parło mię tej nocy na wodę, bo zarobiłem sobie na dobry kawałek chleba i dziś nie łapię śle dzi, ale piję kseres.

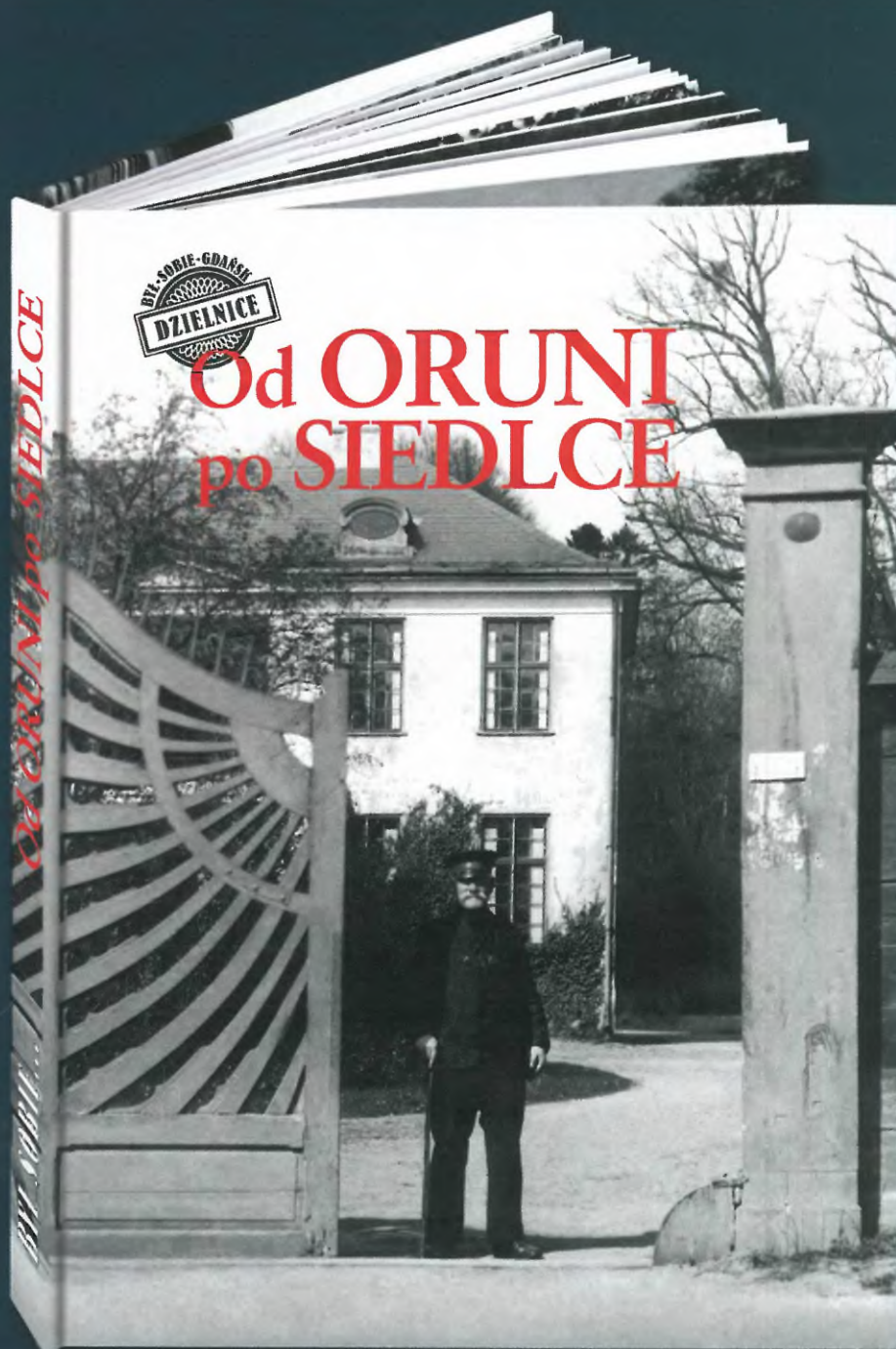
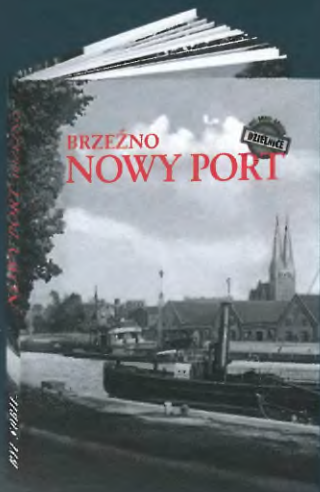
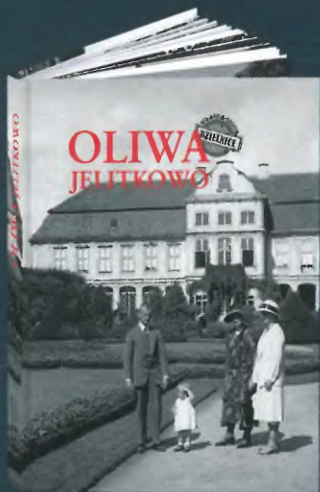
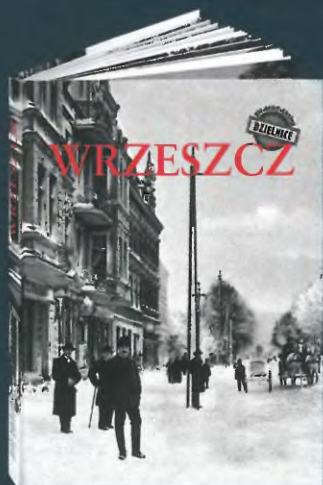
Gdy wody opadać poczęły na Wiśle, dopiero wówczas poczęła powódź wód wewnętrznych przerywać i uszkadzać groble, ale obojętnie na to patrzyli już Żuławianie, znając się bezpiecznymi. Zapleśniałymi talarami, które z piwnic teraz wydobyć musieli, nietrudno im było zatkać dziury w groblach. Dziś jest wszystko znowu naprawione, zadarnione i obsadzone na nowo i nikt by się nie domyślał, co to kosztowało i jakie spustoszenia porobiła owa powódź”. ■

Wincenty Pol

Fragment szkicu „Na groblach” ze zbioru „Obrazy z życia i natury”. Pol wędrował po Żuławach i odwiedził Gdańsk w 1842 roku.



Nowy album kolejne dzielnice



148 stron * cena 52 zł

W KSIĘGARNIACH



PATRONAT
30dni
MEDIALNY

Wystawa „Koniec epoki”



W lutym, w Nadbałtyckim Centrum Kultury (Ratusz Staromiejski) prezentowana była wystawa zatytułowana „Koniec epoki”. Złożyły się na nią fotogramy, które przygotował Grzegorz Gorezyński, a które były rekonstrukcjami fotografii wykonanych na szklanych negatywach przez Edwarda Janusza.

Autor zdjęć, czyli Edward Janusz, był rzeszowskim fotografikiem. Żył w latach 1850-1914. W Rzeszowie nie tylko prowadził zakład, ale też działał społecznie. Z czasem jego praca zyskała takie uznanie, że otrzymał tytuł cesarsko-królewskiego nadwornego fotografa. Stał się więc oficjalnym „fotoreporterem” i z aparatem uczestniczył we wszystkich najważniejszych uroczystościach w mieście. Założona przez niego firma istniała do lat pięćdziesiątych XX wieku, dzięki zaangażowaniu żony i córki. W 1997 roku odnaleziono archiwum zakładu: było tam ponad 31 ty-



sięcy szklanych klisz, ponad 1200 błon fotograficznych i ponad 2 tysiące zdjęć.

Gdańszczanin Grzegorz Gorczyński natrafił na szklane negatywy Janusza, gdyż były wystawione na sprzedaż na jednej z aukcji internetowych. – Skończyłem liceum konserwacji zabytków i sprawia mi ogromną przyjemność posiadanie starych przedmiotów – mówi gdański fotografik. – Dlatego, kiedy trafiłem w Internecie na szklane negatywy, postanowiłem je kupić. W sumie było ich około setki, pochodziły chyba z prywatnego archiwum Janusza. Nie ma tam fotografii wykonanych w atelier; są za to zdjęcia z wakacji, portrety rodzinne i próby fotografii artystycznej. Na wystawę wybrałem dwadzieścia z nich – te, które według mnie najlepiej oddają klimat tamtej epoki.

Negatywy, które kupił Gorczyński, są niewielkie: mają 9 na 12 centymetrów. Zrekonstruowane na wystawę zdjęcia są o wiele większe, mają metr na siedemdziesiąt centymetrów. – Staralem się je przygotować tak, jak mogłyby wyglądać oryginalne odbitki, które nie zachowały się do dziś. Zdecydowałem się na technikę gumy arabskiej, bo nadaje ona odbitkom wygląd „starych”.

Obecnie prawie nikt nie używa tej techniki, ponieważ jest bardzo pracochłonna. Papier akwarelowy pokrywa się ręcznie substancją światłoczułą, inną niż powszechnie stosowane srebro, właśnie tak zwaną gumą arabską. Jego przygotowanie trwa kilka miesięcy, trzeba go kilkakrotnie hartować gorącą wodą, suszyć, nasączać żelatyną i formaliną. Potem na niego nakłada się emulsję światłoczułą i naświetla. Powtarza się to cztery do sześciu razy. Za to efekt końcowy jest niepowtarzalny, a tak wykonane zdjęcia powinny bez problemu przetrwać kilkaset lat. Odbitki wykonane tą techniką są bardzo malarskie, mają atmosferę akwareli, sfotografowane obiekty znajdują się jakby za mgłą.

Praca nad wykonaniem fotogramów zajęła Grzegorzowi Gorczyńskiemu prawie rok. Jego zdaniem wystawa „Koniec epoki” jest odbiciem dawnej rzeczywistości, opowieścią o ludziach i czasach całkowicie nieznanych dla współczesnego pokolenia. Duże formaty powiększeń dają możliwość nowego spojrzenia, a nawet swoistego uczestniczenia w świecie sprzed dziesiątków lat. Wiele negatywów w okresie długiego przechowywania zostało uszkodzonych, na ich powierzchni pojawiły się rysy i odciski linii papilarnych poprzednich właścicieli, co zostało pieczołowicie odwzorowane na powiększeniach i nadało im specyficzną aurę. Na wystawę wybrane zostały portrety i pejzaże wykonane zapewne w przedziale lat 1900-1930. ■



NOWAK i jego „Szpaki”

Tekst: Tadeusz T. Głuszko

Foto: Archiwum Jaromira Nowaka



Przemek i Jarek Nowakowie dostali od rodziców enerdowskie aparaty „penti”. Były to kamery małoobrazkowe, wprawdzie nowocześniejsze od polskich „druhów”, ale nie miały tego „ducha”, co nasze aparaty

Dlaczego doktor Henryk Nowak podjął się w marcu 1959 roku tej dodatkowej pracy, za którą nie tylko nigdy nie wziął grosza, ale jeszcze dołożył niejedną złotówkę? Powiedział kiedyś redaktorowi gdańskiego „Czasu”: „Gdy dzieci nadepną dorosłym na odcisk, zaraz muszą robić grzeczny dyg i przepraszać. Ich natomiast nikt nie przeprasza, bo każdy ma ważniejsze sprawy na głowie i musi się spieszyć. No to ja mam czas – idę sobie z żoną przez życie i przepraszam dzieci!”. Najbardziej przepraszał te najmocniej „zdeptane”.

W ydarzyło się to gdzieś na początku lat pięćdziesiątych. Pewnego wieczoru Henryk Nowak (1913-1986) przechodził obok jakichś ruin. Nagle usłyszał pełne rozpacz piski i jęki. Zająrzał za osmalone mury i dostrzegł grupę chłopaków w wieku od dziesięciu do piętnastu lat, którzy pokładali się ze śmiechu. Byli rozbawieni widokiem kota i szczura, których ognie spętały drutem. Jęcząc i piszcząc zwierzęta daremnie próbowały się rozbiec.

Wtargnięcie doktora zepsuło zabawę. Jednemu jej uczestnikowi nie udało się uciec, chociaż wyrwał się i gryzł. „Będzie

pan bił?!” – krzyczał osłaniając głowę. „Uspokój się, pójdziemy na ciastka i pogadamy” – powiedział doktor i mocno uściśnął spocną rękę. Jak pisała w „Literach” Krystyna Ciecholewska, po drodze na ciastka „jeniec” usiłował się wyinknąć, gdy na horyzoncie pojawił się dzielnicowy. „Daj pan spokój z tymi szczeniakami – zawołał milicjant. Okradną pana albo narobią pod drzwiami. Mnie schody w domu, dranie, podpiłowali”.

Weszli do jakiejś cukierni. Nowak zamówił ciastka i coś do picia. Zamiast prawić morały, wypytywał malca o jego sytuację, badał, czy ma jakieś zainteresowania. Na koniec dokupił jeszcze ciastek, by chłopak zaniósł kolegom. Kiedy się rozstawali, namawiał, by przyszedł z nimi następnego dnia w to samo miejsce, to nauczy ich robić zdjęcia. Przyszli wszyscy.

Chłopcy zaczęli odwiedzać doktora w jego mieszkaniu przy ulicy Wajdeloty 10 we Wrzeszczu. Królowała tu doktorowa, pani Wierysława, niewiasta wysoka, wysportowana, z bardzo otwartym spojrzeniem, równie przyjazna i wyrozumiała jak mąż. Pracowała jako laborantka w kierowanym przez Nowaka zakładzie fotografii naukowej Pracowni Radiologicznej Akademii Medycznej. W poczekalni zakładu wisiały duże fotogramy doktora. Jeden przedstawiał bociana zlatującego z pokarmem do młodych oczekujących w gnieździe. U Nowaków można było odrobić lekcje, pobawić się z ich dziećmi, dostać jajecznicę, a przede wszystkim nie trzeba było obawiać się jakiegokolwiek agresji.

Kiedy koledzy lekarze łapali dodatkowe etaty, by jak najprędzej wybić się ponad szarą peerelowską przeciętność, a wielu decydowało się wstąpić do partii, by ułatwić sobie awanse, Nowak wołał poświęcać czas rodzinie, pasji fotografowania i „nadeptanym” dzieciom. „Bo ciekawsze są radości i dramaty dzieci niż dorosłe życie na niby – mówił. Na bogacenie szkoda czasu – życie za krótkie. Lepiej chodzić do szewca niż kupować opony”.

Jeszcze w 1947 roku jako student Akademii Lekarskiej Henryk Nowak został członkiem-współzałożycielem Gdańskiego Towarzystwa Fotograficznego. Fotografiami interesował się od dziecka. Kiedy miał dziesięć lat skonstruował pierwszy aparat, którym fotografował wszystkie szkolne imprezy. Żeby kupić „kodaka”, zbierał zioła, suszył je i sprzedawał. Brał udział w konkursach fotograficznych, zdobywał nagrody. Korespondował z wybitnymi polskimi fotografikami, między innymi z Janem Bułhakiem i Tadeuszem Wańskim. Czytał pisma fachowe. Eksperymentował. Miał zadatki na artystę dużego formatu. Dlaczego nim nie został?

Wybrał medycynę, bo wierzył, że będzie pomagać ludziom. Należał do pierw-



Jedno z wielu zdjęć grupowych, przed głównym wejściem do „siedemnastki”

szego powojennego rocznika absolwentów gdańskiej Akademii Lekarskiej. Uzyskał dwie specjalizacje: lekarza radiologa i lekarza sportowego. Kiedy w końcu podjął upragnioną pracę, nie mógł zaakceptować rzeczywistości, która urągała jego ideałom. „Kliniki to warsztaty remontowe” – konstatował ze smutkiem. Opowiadał o makabrycznym zachwycie przyjaciela,

który patrząc na zdjęcie pacjenta – a jego dni były policzone – wołał: „Chodźcie zobaczyć jaki piękny nowotwór!”. Nowak nie porzucił wyuczonego zawodu, ale medycyna nigdy nie stała się jego pasją. Tą pozostała niezmiennie fotografia, a od 1952 roku, w którym poślubił panią Wierysławę, również rodzina, wreszcie te „nadeptnięte” dzieci.

Doktor Nowak przed szkołą prowadzi zajęcia





W dniu otwarcia klubu jego członkom przypięto metalowe znaczki. Na zdjęciu Przemka Nowak i Tadzio Serafin

W lutym 1948 roku wydał prywatnie w nakładzie 15 egzemplarzy pierwszy biuletyn Gdańskiego Towarzystwa Fotograficznego, w którym znalazły się nazwiska wszystkich jego członków – obok Tadeusza Wańskiego, którego powojenne losy rzuciły do Gdańska, znajdujemy tam artystę malarza Tadeusza Szpaka. Z tym Szpakiem Nowak potrafił włożyć się godzinami po Gdańsku w poszukiwaniu tematów do zdjęć.

To właśnie z nim przyszedł Nowak w tamto pamiętne dla niego popołudnie, 3 marca 1959 roku, na boisko szkoły podstawowej nr 17 we Wrzeszczu przy ulicy Czarnieckiego 2 na spotkanie z gromadką dzieci. Panowie opowiedzieli o budowie aparatu „druh”. Pstryknęli pamiątkowe zdjęcie. I tak się zaczęło. Powstała grupa fotograficzna. A wybór „siedemnastki” nie był przypadkowy. We wrześniu miał w niej rozpocząć naukę pierwszoklasista Jaromir Nowak, syn doktora. Chłopiec od początku dołączył do grupy. W tym samym roku zmarł nagle Tadeusz Szpak. Na jego pamiątkę koło młodych fotografów zaczęło siebie nazywać „szpaczkami”.

Początkowo dzieci spotykały się na boisku szkolnym albo w mieszkaniu Nowaków. Doktor z satysfakcją podsumowywał te pierwsze miesiące: „Uzyskiwaliśmy obrazy fotograficzne wywoływane bez ciemni i nawet bez zakrytego pomieszczenia. Udało się pominąć to, co było zmartwieniem dla maluchów – przebywanie w zamkniętym pomieszczeniu bez słońca, w wilgoci i oparach chemikaliów. Nasze zajęcia odbywały się w połączeniu ze sportem: na plaży, w lesie, nad wodą, na łące. Pracowaliśmy na zmianę w dwóch grupach: sportowej i fotograficznej”.

Obrazy fotograficzne uzyskiwano stosując wymyślone przez doktora techniki, w których wykorzystywano odpady ma-

teriał fotograficzny. Dzieci malowały utrwalaczem na zużytych papierze. Po kąpieli papieru w wywoływaczu ukazywał się biały rysunek na czarnym tle, a kiedy malowały wywoływaczem i stosowały kąpiel w utrwalaczu – kolory były odwrotne. Inną techniką było malowanie utrwalaczem na wyświetlonych negatywach. Dużo efektów było nieprzewidywalnych, zabawnych.

„Fotografowie” wpadali na zajęcia często wprost z ulicy. Większość tych dzieci pocho-

dziła z domów, gdzie nikt się nimi nie interesował, w których nie gardzono alkoholem. Doktor cierpliwie wysłuchiwał ich zwierzeń. Radził. Kiedy trzeba, poręczał w prokuraturze i na milicji. Nie żałował czasu, bo wiedział, że odnajdą cel w życiu, kiedy wyrwą się spod władzy nudy oraz otaczającego je niezrozumienia. Mówił, że „każde dziecko ma talent na wielkiego majstra”, że „nawet to pozornie najgłupsze jest w jakiejś dziedzinie lepsze od innych. Kiedy się o tym dowie, ma po co żyć! A za nauczycielem o zręcznych rękach pójdzie w ogień, bo koci je ciekawość odsłaniania tajemnic”. Zaráżał dzieci fotografią, plastyką, majstrowaniem, turystyką. Pozwalał im przychodzić nawet po to, żeby się tylko wygadały.

Większość jego podopiecznych uczyła się w „siedemnastce” i pewnie dlatego kierowniczka Felicja Niewiarowska z nadejściem jesieni udostępniła im kawałek korytarza obok sali gimnastycznej, by – jak napisała w miesięczniku „Rodzina i Szkoła” – „zamiast wałęsać się po ulicy, kulturalnie spędzały czas w budynku szkoły”.

W tamtych latach mało kto mógł marzyć o własnym aparacie fotograficznym. Dlatego doktor uczył, jak samemu tanio zmajstrować takie urządzenie. Wymyślał nowe sposoby tworzenia obrazów na odzyskiwanych materiałach. Sporo pomysłów rodziło się w głowach dzieci. Papier i klisze

Uroczystego otwarcia klubu dokonała żona Tadeusza Szpaka



dostawali w dużych ilościach jako materiał odpadowy od znajomych fotografów oraz z zakładu fotografii naukowej Pracowni Radiologicznej, którym doktor kierował aż do swojego przejścia na emeryturę. Był urodzonym racjonalizatorem i wynalazcą, zostawił tam sporo patentów.

Pod okiem Nowaka dzieci nabierały wiary w siebie. W domach i szkole często były niedoceniane i rugane. W klubie przekonywały się, że potrafią robić dużo wspaniałych rzeczy! Jak takie doświadczenia wpływają na dobry rozwój dziecka, dzisiejsza nauka daje niemało dowodów. Nic więc dziwnego, że świetne prace wykonywali nawet uczniowie, którzy byli miernie oceniani na lekcjach plastyki.

Był rok 1960, kiedy w suterenie „siedemnastki” dzieci doktora odkryły puste pomieszczenia po nieczynnej ubikacji i prysznicach. Pani kierowniczka zgodziła się odstąpić je „szpaczkom”. Choć były wilgotne i bez wentylacji, wszystkich rozpierał entuzjazm. Powstała sala klubowa z ciemnią! Wprawdzie na odświeżenie ścian nie starczyło farby, ale ktoś zaproponował, by okleić je kolorowym papierem i folią. Meble częściowo sklecieli ze skrzynek, z pniaków, z polamanych gratów przeznaczonych na spalanie. Sprzętu fotograficznego dostarczył sam doktor.

W piątkowy wieczór 3 marca 1961 roku, w drugą rocznicę powstania, grupa przyjęła oficjalnie nazwę „Szpaczki – Kółko Fotograficzne im. Tadeusza Szpaka”. Dzieciom wręczono metalowe znaczki członkowskie. Część fotografów nie umiała jeszcze czytać i pisać. Były to liczące zaledwie po pięć lat przedszkolaki z córką Nowaków, Przemysławą. Tamtego wieczoru otwarto też galerię fotograficzną. Jej działalność zainaugurowała wystawa prac patrona grupy Tadeusza Szpaka. Opowiadał o nim profesor Edmund Zdanowski. Obecni byli członkowie Polskiego Związku Fotografików i Gdańskiego Towarzystwa Fotograficznego oraz kierownictwo szkoły. Dwa miesiące później odbył się wernisaż zdjęć reportażowych Zbigniewa Kosycarza. We wrześniu „szpaczki” zapraszały na wystawę fotografów Mariana Murmana. Do roku 1969, kiedy przypadała sto trzydziesta rocznica narodzin sztuki fotograficznej, w małej galerii zorganizowano sto trzydzieści wystaw. Pielgrzymowały na nie całe klasy nie tylko z „siedemnastki”. Zaglądali też zwyczajni miłośnicy fotografii z miasta, a gazety zapowiadały kolejne wernisaże.

Działalność galerii wysoko ocenia znany gdański fotografik Witold Węgrzyn. Jeszcze jako uczeń orłowskiego liceum plastycznego trafił tam, by obejrzeć wystawę. Nie skończyło się na jednej wizycie. Oryginalne foto-



Studenci z łódzkiej filmówki nakręcili krótkometrażowy film o „szpaczkach”. Dla jego potrzeb zafundowali dzieciom rejs motorówką po Motławie

gramy były poprawnie oprawione i oświetlone. Nowak stwarzał okazje do bezpośrednich spotkań z autorami. Przez długi czas

galeria była jedynym salonem fotograficznym Gdańska. Swoje prace wystawiały również same „szpaczki”. Zmieniano je co dwa

Przez jakiś czas Nowak przyuczał do fotografii milicjantów i rzemieślników. Niektórzy z nich sporadycznie dawali się namówić do pracy ze „szpaczkami”





- | | |
|---------------------|--------------------|
| 1. GRAJCZYK JERZY | 11 GZARNECK AND |
| 2. SADEJ BROMIST. | 12 ZYPERT |
| 3. NOWAK JAROMIE | 13 |
| 4. FILATOW ZBIGNIEW | 14 ZYPERI |
| 5. SERAFINTADBUSZ | 15 COCHWICKI JANKO |
| 6. SADEJ KRYSZTYN | 16 |
| 7. FILATOW DAWID | 17 |
| 8. GLASNER STEFAN | 18 |
| 9. ROSZORAK BASIA | 19 |
| 10. KUROWSKI | |

Pierwsze zdjęcie „grupy fotograficznej”. Nowak pstryknął je na spotkaniu 3 marca 1959 roku, a opisywał po kilku latach, dlatego nie udało mu się odtworzyć wszystkich nazwisk

tygodnie. Przy tej okazji też zapraszano gości i prowadzono dyskusje.

Z czasem wyłoniono demokratycznie Radę Szpaczków, która współdecydowała z doktorem o programie zajęć i przyznawała doroczne nagrody „Błękitnego Szpaka”. Otrzymywały je osoby, „które popierają i popularyzują wszelkie słuszne i nowe formy pracy z dziećmi”. Pierwsze nagrody przyznano 14 czerwca 1962 roku. „Statuetką Szpaczka” – wraz z teką grafiki dziecięcej i dyplomem – udekorowano między innymi Felicję Niewiarowską, Zbigniewa Kosycarza, Izabellę Trojanowską. Ceremonię połączono z wieczornicą poświęconą zmarłemu fotografikowi Tadeuszowi Wańskiemu. I wtedy, w suterenie „siedemnastki” rozpoczę-

ło żywot „jedno z bardzo nielicznych na świecie” Dziecięce Muzeum Fotograficzne im. T. Wańskiego. Mogło zaimponować starymi aparatami fotograficznymi i innym leciwym sprzętem oraz pożądanymi fotografiami pradziadków i prababek, przyniesionymi przez dzieci lub ofiarowanymi przez ich przyjaciół.

Uzdolnienia artystyczne „szpaczków” nie raz wzbudzały podziw połączony z niewiarą. W katalogu do gdańskiej wystawy, którą urządzono w Ratuszu Głównomiejskim z okazji dziesięciolecia klubu, Nowak wspomina reakcję toruńskiej publiczności na prace swoich wychowanków. „W czasie wernisażowego spotkania z publicznością przybyli tam historycy sztuki, fotograficy i plastycy, wskazując na jedną z najfantastyczniejszych

prac, wyrazili przekonanie, że musiała ona być inspirowana przeze mnie. To niemożliwe, żeby taka dojrzała była fantazja dziecka – twierdzili. I wtedy wyratował mnie siedmioletni Marek Kozłowski. Widząc, że jego pracę wskazano, podbiegł do swego fotogramu i z dumą oświadczył: „To ja robiłem”. Rozmowa z Markiem przekonała wszystkich, że jego fantazja twórcza sięga znacznie dalej niż dorosłego”.

Trudno powiedzieć, jak to się mogło stać, ale Nowak miał dobrą prasę. Gazety podlegały cenzurze, a mimo tego sporo pisały o społeczniku, który działał właściwie nieformalnie. Szczególnie ciepło i często pisała o Nowaku i jego „szpaczkach” Izabella Trojanowska. Doktor, lubiany przez dziennikarzy, był jednak solą w oku urzędników „pięnu oświaty i kultury”. Ci nie mieli powodów, by go lubić, gdyż dziennikarze często wskazywali, że nikt nie pomaga mu w jego pracy. Pewnie dlatego w wydziale oświaty zdarzało mu się słyszeć pytania: „To jakie ma pan kwalifikacje?”, albo stwierdzenia w rodzaju: „Wychowywaniem niech zajmują się nauczyciele, a lekarze niech leczą”.

Nowak sam o pomoc nie występował. Nawet jej nie chciał. Bał się, że musiałby się z niej rozliczać, pisać sprawozdania, uczestnicząc w nudnych posiedzeniach oraz – a to byłoby najtrudniejsze – że byłby zobowiązany okazywać do akceptacji programy i metody pracy, co wykluczałoby jakąkolwiek improwizację. Mówił, że „szpaczki to ptaki niesforne, nieprzewidywalne, co jeden to inny, i nie da się ich ująć w regulaminy”.

Ojciec jednego z „szpaczków”, który przez długie lata pracował w gdańskim kuratorium, stwierdzał, że z punktu widzenia jego urzędu doktor działał jakby w podziemiu, niezupełnie legalnie, bo nie legitymował się oficjalnym zezwoleniem na pracę z dziećmi. Ratowało go członkostwo w Gdańskim Towarzystwie Fotograficznym, które uprawniało do prowadzenia zajęć w amatorskich kółkach. Ale doktorowi brakowało wykształcenia pedagogicznego, którego wymagano przy takiej pracy.

Współpraca z lokalnymi dziennikami była owocna. Dzięki niej można było organizować takie akcje, jak niedzielne wieczorki fotograficzne czy – w 1962 roku – „Wielki konkurs fotografii amatorskiej „Dziennika Bałtyckiego” i Szpaczków dla amatorów początkujących, dzieci i młodzieży pt. Piękno Ziemi Gdańskiej” z okazji X wieków Gdańska. Jesienią urządzano zawody latawców. Były też konkursy dziwów przyrody, plażowe konkursy budowania z piasku, zimowe bale kostiumowe na wrzeszcząskich lodowiskach oraz zawody hokejowe. Na boisku „siedemnastki” rozgrywano za-



Na lodzie urządzano mecze hokeja, zabawy i bałe. Wśród „szpaczków” są siostry Gosia i Kasia Rozmarynowskie (autorka tekstu o Parku Leśnym Jaśkowej Doliny w poprzednim numerze „30 Dni”)

wody piłkarskie z udziałem zespołów wyłonionych przez okoliczne podwórka.

Pewien ojciec, zanim posłał syna do „szpaczków”, postanowił zajrzeć do klubu. Opowiadał później redaktorowi tygodnika „Czas”, że spotkał „w piwnicy” czerecę małych uliczników, takich cwaniaków urodzonych trzynastego w piątek, co to nie uznają życia w karności. W bałaganiarskiej scenerii jego oczom ukazał się mistrz tej dziecięcej wszechniczy fotograficznej. Nowak rej wodził w wytartych portkach, w źle dopasowanej bluzie, bez krawata, chyba

we flanelowej koszuli. Nie było w nim nic poprawnego. Już na pierwszy rzut oka żaden lekarz. Do tego niewysoki, że ledwie było go widać. Za to raz po raz wybuchał śmiechem. Wtajemniczał dzieci w sztukę robienia zdjęć. „Nawet najlepszy aparat nie fotografuje sam – perorował. To ja fotografuję. Ty fotografujesz. My to robimy. Ale poza nami i aparatem czegoś jeszcze trzeba do zrobienia zdjęcia...”. „Światła!” – dopowiedziały dzieci.

Po niedługim czasie ów ojciec przyprowadził swojego syna. Z czasem dzieci inteli-

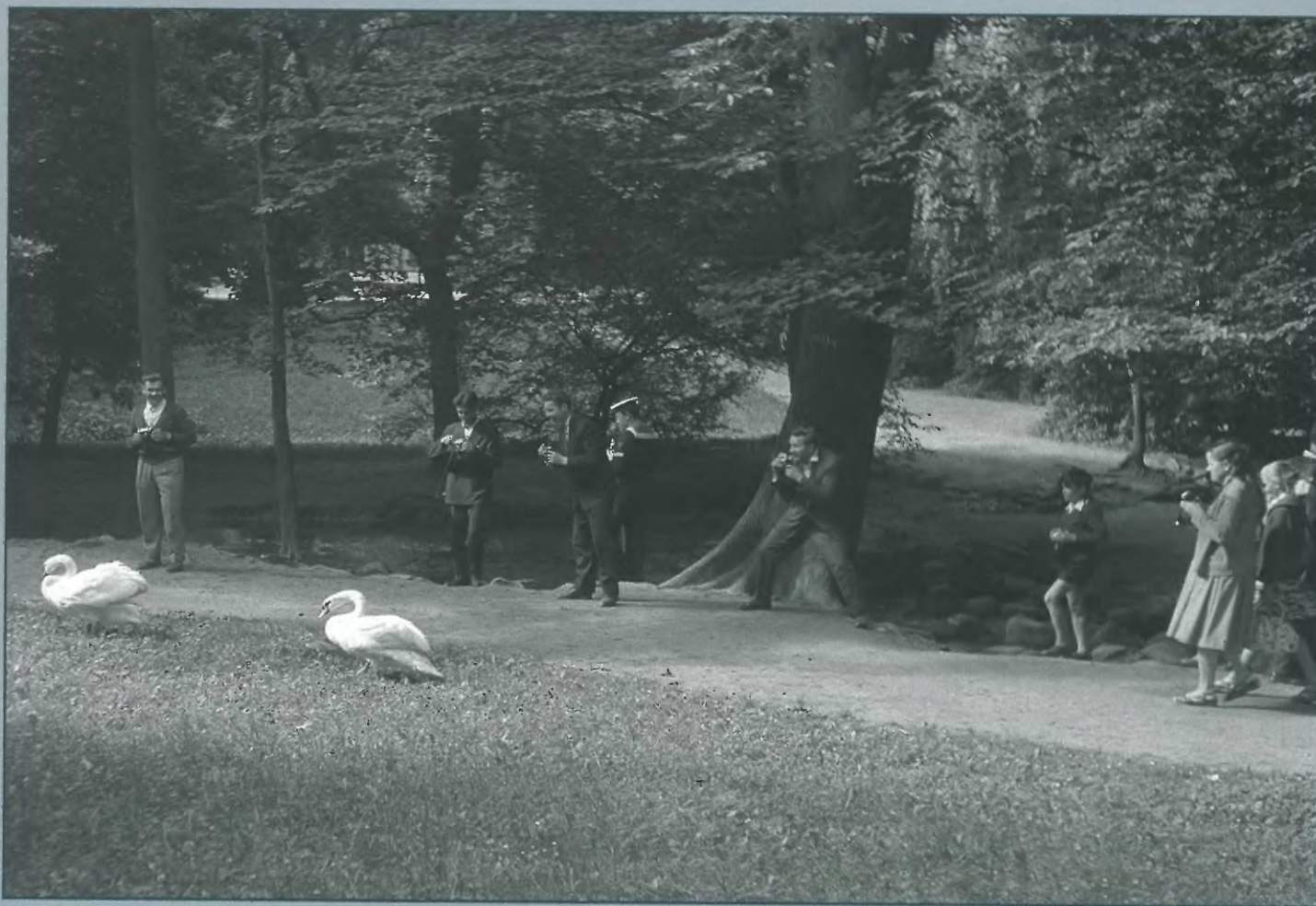
genekich było coraz więcej – zadbane, wychowane, dobrze uczące się: „córka lekarza, syn państwa inżynierów, pierwsze dzieci profesorskie. Dzieci chowane w puchowym domowym cieple”. Doktor nazywał je „kanarkami”, „pępkami”, „cyckami”. Razem z nimi „szpaki” i „gawrony” tworzyły barwną i głośną gromadę.

Klubowiczów przybywało. W suterenie robiło się ciasno. Kierowniczka szkoły pozwoliła korzystać dodatkowo z sal klasowych. Podczas ferii przychodziło sto pięćdziesiąt, dwieście i więcej dzieci, a chętnych było około pięćset, w tym połowa spoza „siedemnastki”. Działały sekcje: fotograficzna, filmowa, linorytnicza, rysunkowa, modelarska, metaloplastyczna, wycinankarska, kolekcjonerska, turystyczno-krajoznawcza, sportowa, teatralna. Doktor powiadał, że trzymał wówczas na sznurku pięćset koni, z których każdy ciągnął w swoją stronę.

Apele do osób z odpowiednimi kwalifikacjami i uzdolnieniami, by poświęciły dzieciom choćby jedną godzinę tygodniowo, dawały znikome rezultaty. Nowaka wspomagała żona i kilkoro nauczycieli z „siedemnastki”.

Jeden z przyjaciół „szpaczków” zapamiętał taki obraz: „W klasach na parterze gwar – w jednej gromada młodszych dzieci śpiewa, ćwiczy – rytmika. W drugiej dzieci rysu-





Gniazda „szpaczków” powstawały też w Marynarce Wojennej i innych instytucjach. Ta grupa odbywa zajęcia w Parku Oliwskim

ją, próbują malować. (...) W innej klasie »majsterklepki-usprawniacze«, co to wszystko naprawią i wszystko potrafią zrobić z byle czego. (...) Na korytarzu gromada zaglądających tu i ówdzie, jeszcze nie zdecydowanych: chodzą od grupy do grupy – »przymierzają się«.

Dzieci mogły dowolnie zmieniać swoje zainteresowania. Taka swoboda dawała rezultaty. »Obserwowałem dziewczynkę, która bardzo pilnie uczęszczała na spotkania »Szpaczków« od pierwszego dnia – napisał doktor w katalogu do wystawy podsumowującej dziesięciolecie klubu. Jej buzia jest na pierwszym pamiątkowym zdjęciu założycieli. Przez kilka lat nie interesowała się jednak pracą żadnej z grup twórczych i nie nie wykonała sama. Dopiero po sześciu latach zrobiła jeden linoryt – i na tym poprzestała. Aż nagle zainteresował ją taniec i w bardzo krótkim czasie doszła do takich wyników, że stała się nauczycielką młodszych koleżanek. (...) Dziesięcioletnie obserwacje przekonały mnie, że największe zdolności plastyczne wykazują właśnie te dzieci, które uchodzą w szkole za trudne, opóźnione w rozwoju».

Światło w szkolnej suterence czasami długo nie gasło. Przyczyny bywały różne. Przez jakiś czas doktor zostawał dłużej tylko po to, by zajmować się pewnym malcem w wieku około dziesięciu lat. Ze wzglę-

du na niego zabierał z domu więcej kanapek. Nim doszło do tych spotkań, ktoś prawie każdego wieczora tłukł wielkie szyby w szkolnych oknach. »To nieszczęśliwy chłopiec – opowiadał Nowak. Mieszka niedaleko z matką. Ta kobieta pracuje w kiosku na końcu Pohulanki, a gdy wraca do domu, jest prawie noc. Chłopiec po szkole jest sam, często głoduje. Zwierzył mi się kiedyś, że nie chce siedzieć w pustym mieszkaniu, wołał waleśać się po ulicach. Oglądał wystawy, zaglądał do okien. »Kiedyś – mówił – zobaczyłem dzieci siedzące z matką przy kolacji, to im strasznie pozazdrościłem i poczułem taką złość, że chciałem wziąć kamień i rzucić w okno, żeby nie mieli tak dobrze. Pan nikomu nie poskarży, to powiem: Te szyby w szkole, to ja!«. Od tego czasu – ciągnął doktor – stał mi się bardzo bliski i robię dla niego, co potrafię, ale co w tej sytuacji mogę mu dać poza dobrymi radami?».

»Kanarki« to, zdaniem doktora, dzieci często zbyt delikatne, by umiały mocno przejść przez życie. Żeby je wzmocnić, wstrzykiwał im trochę bakterii. »Jontek, widzisz tego cycka, naucz go życia», zwracał się do jakiegoś »szpaka« albo »gawrona« w tajemnicy przed »kanarkiem«. W podobnej konspiracji szeptał do »kanarka»: »Widzisz tego jontka? Słaby jest w matnie, pomóż mu jakoś«. Doktorowi odmówić nie wypadało i młodzieńcy zaciągali nad sobą »dys-

kretną» opiekę. Po jakimś czasie Nowak zagadywał »jontka« o sukcesy »cycka«. »Fajny jest – słyszał w odpowiedzi. Już kilka razy przelaziliśmy przez płoty. Nawet porwał nowe spodnie i zaklął«. O »jontku« zaś »cycek« szeptał doktorowi: »On wcale nie jest, proszę pana, taki słaby. Dostał z matny pierwszą czwórkę».

Taką wzajemną edukację próbował zakłócić rodzic jednego »cycka«. Wbiegł do klubu z pretensjami: »Deprawuje pan dzieci! Nie będzie mi pan dawał syna między wszarzy!«. I pociecha pana inżyniera na jakiś czas zniknęła z »piwnicy«. »Po miesiącu jontek nieoczekiwanie przyszedł w nowych dzinsach – wspominał doktor. Nie mogli mu kupić rodzice, bo co mieli, zamieniali na wódkę. Ukradł? Nie! Sprezentowali mu stary cycka. Na przypieczętowanie zgody! Bo cycek odstawiony od jontka przestał jeść, łapał dwóje i wrzeszczał, że chce zostać śmieciarzem. Rodzice w końcu zmiękli. Cycek wyrósł na porządnego człowieka, ale i jontek skończył nie najgorzej jako lekarz. Przyjaźń jest trudna. Cudne dzieci!».

Ruch »szpaczkowy« rozprzestrzeniał się coraz szerzej. W samym Trójmieście było w końcu lat sześćdziesiątych ponad tysiąc jego uczestników i co najmniej drugie tyle w gniazdach po całej Polsce. Stało się tak między innymi za sprawą telewizji, która go

wypromowała w popularnej dobranocce „Jacek i Agatka”. Każde gniazdo działało samodzielnie. Nie było żadnej hierarchii. Nowak nie wykazywał ambicji wodzowskich. Kto nie mógł przyjechać do głównej kwatery w „siedemnastce”, pisał na sekretariat, a sekretariatem był doktor, który starał się reagować na każdy list.

Rok 1969 wieńczył dziesięciolecie ruchu i zaznaczył się dwiema ważnymi wystawami: w Toruniu i w Ratuszu przy Długiej. „Szpaczki” miały wspaniałą prasę, jednak wspomniana zawieść urzędników, a do tego nieumiejętność albo i niechęć części „szpaków” i „gawronów” do poddania się ogólnie przyjętym normom, zrobiły w końcu swoje. Do tego wyrozumiałość i cierpliwość nauczycieli oraz nowego woźnego „siedemnastki” z czasem też się wyczerpały. Nowe kierownictwo szkoły zakazało Nowakowi korzystania z sal klasowych i zagroziło odebraniem suterenu. Na trzy miesiące przed planowanym zlotem jubileuszowym doktor otrzymał pismo, w którym „Kierownictwo Szkoły Podstawowej nr 17 zwraca się z prośbą o przekazanie kluczy do wszystkich pomieszczeń zajmowanych przez »Szpaczki« oraz zabranie sprzętu”. W takiej sytuacji spotkania przeniosły się do „lokalu” przy Wajdeloty 10, a „Głos Wybrzeża” zawiadomił w niedużej notce, że Zlot Szpaczków nie odbędzie się z powodu eksmisji.

Dość niespodziewanie władze miejskie zaproponowały Nowakowi przejęcie średnio-

Do klubu w „Topolówce” przychodziły też „szpaczkowe” wygi (wśród nich ociemniała licealistka Bogusia z opiekunką). Na pierwszym planie po prawej widoczna „Statuetka Szpaczka”



Na sopockiej plaży doktorowi towarzyszy drugi starosta Rady Szpaczków, Jasiu Wejher (dziś pan Jan jest jednym z właścicieli TVN). Pierwszym starostą był Janusz Byczkowski. Koniec lat sześćdziesiątych XX w.

wiecznej Katowni. Wydawało się, że w całym Gdańsku nie ma lepszego lokum. Takie miejsce mogło działać na wyobraźnię. Mroczne

cele o pięknych sklepieniach, prawie pozbawione okien, byłyby idealne na ciemnie fotograficzne, natomiast w oświetlonej wieloma oknami wielkiej Sali Tortur na piętrze można by urządzać wystawy. Doktor jednak odmówił. „Katownia leży w reprezentacyjnym centrum – tłumaczył. Dobre to dla grzecznych dzieci, a moje są z marginesu i wolą szwendać się po peryferiach.”

Pozbawione dawnej siedziby „szpaczki” zdomowały się w popularnym wrzeszczańskim III Liceum Ogólnokształcącym – „Topolówce”, gdzie już w 1968 roku powstało gniazdo „Morskich Szpaków”.

Rozpoczęły się lata siedemdziesiąte. Pewnego dnia doktor zetknął się z naszymi rodzimymi hippisami. Podczas samotnego dyżuru na jednej ze „szpaczkowych” wystaw w mieście do sali wtoczyła się gromada „dzieci kwiatów”. Część była pod działaniem narkotyków. Kpili z wszystkiego i szukali zwady. Grozili doktorowi wyrzuceniem za okno. Ale awantura przerodziła się w dyskusję i hippisi zaprosili doktora do swojego obozowiska w lesie na Stogach. Nowak nie odmówił. Udało mu się nakłonić dwudziestu narkomanów do podjęcia nauki w szkole wieczorowej, zapewnił im leczenie odwykowe i miejsca w szpitalu. Po dwóch latach grupa rozpadła się. „To była moja poważna klęska” – przyznawał potem. Kil-



ku osobom jednak pomógł – żyją do dziś i nie są narkomanami.

Być może pod wpływem tego wydarzenia doktor przeszedł na „ty” ze swoimi „szpaczkami”. Nie było to jednak zwyczajne odejście od staroświeckich zasad. Nowak wyjaśniał: „Niektórych gorszy, że dzieci mówią mi po imieniu, ale takie prawo mają tylko te z »czystym sumieniem«. Przychodzi taki malec i raz mówi Henryk, a raz – pan. Od razu wiem, że coś zbroił, że gdzieś poszła szyba, dostał lufę w szkole lub nie zrobił w domu tego, co do niego należało. Biorę go na stronę. Rozmawiam. Radzę. Dzień, dwa i znów mówi mi Henryk”. Z tej formy rzadko korzystali chłopcy używający mocnych słów. Nowak dopuszczał ich tylko do przedśionka klubu, gdzie stał stół pingpongowy. „My partyzanci, oni szpaki – opowiadali

wać z Panem i zaprosić z Jego Szpaczkami na truskawki, a na przyszły rok ofiaruję plantację 25000 m kw. dla nich. Ziemię przygotowuję, a sadzić i pielęgnować będą sami. Niechaj się uczą i mają przyjemność »tworzenia«”.

Jesienią 1971 doszło do spotkania gdańskich „władz oświatowych i kulturalnych” z Nowakiem w sprawie jego pomysłu utworzenia Międzyszkolnego Ośrodka Plastyki i Fotografii. Projekt zaakceptowano, ale kuratorium zastrzegło, że musi jeszcze zbadać pedagogiczne kompetencje doktora. Tego badania nigdy nie ukończyło i ośrodek nigdy nie powstał.

Tydzień po tych rozmowach dyrektor „Topolówki” odebrał „szpaczkom” ich piw-

„ItD”: „Fachowcy od usterek byli, ale usterki pozostały. Zginęło całe dotychczasowe wyposażenie piwnicy: stoły montażowe, 5 szaf, 52 taborety, metalowe stoliki, gabloty, ozdobne kraty, 2 rulony winidurowej folii”.

Przez lata remontu oraz remontu po remoncie tylko garstka najwytrwalszych zapaleńców odwiedzała doktora w jego mieszkaniu albo w Klubie Służby Zdrowia, gdzie co jakiś czas odbywały się „szpaczkowe” spotkania. Dopiero w grudniu 1977 roku udało się na dobre sfrunąć do „Topolówki” i pozostać tam już do końca.

Trudne lata 1971-1977 nie były stracone. Świadectwem nieustannej aktywności doktora i jego najwierniejszej grupy była uni-



AUTORAMI PREZENTOWANYCH PRAC SĄ DZIECI – W WIEKU OD 5 DO 16 LAT – Z SEKCJI FOTOGRAFICZNEJ GDAŃSKICH „SZPACZKOW”.

Piszemy o nich na str. 15–17. Fotogramy wykonane metodą szozografii – jedną z trzech technik fotograficznych dra H. Nowaka, składających się na ideę szozopediany (wycho- wywania dzieci poprzez wdrażanie ich w uprawia- nie fotografii).

Technika szozografii, zwa- na też „szpakografią”, po- lega na wykonywaniu ry- sunków ołówkiem, pacy- kiem, kredą czy szminką – na wyświetlonych pa- pierach fotograficznych. Wywoływanie odbywać się może w świetle dziennym, nawet w pełnym słońcu.

Drugą z technik szozope- diany jest szozografika, u- możliwiająca uzyskanie grafik z negatywu linoryto- wego – również na wy- świetlonym, a więc nie- przydatnym już papierze fotograficznym. Przy nie- wielkim nakładzie pracy i w zależności od obróbki chemicznej, otrzymuje się obraz pozytywowi lub ne- gatywowi.

Z szozografii i szozografiki wywodzi się szozofotografi- ka. Jest to fotografia łat- wa, zdrowa i bezpieczna. Jest też tania, bowiem i ta technika bazuje na wyświe- tlonym papierze. Do wyko- nania odbitek potrzebna jest – poza papierem – tylko specjalna mieszanina pomysłu dra Nowaka, pra- sa lub wyżymaczka, małe kuwety i stosowane pow- szechnie chemikalia. Od- biki wykonywać można na



O „szpaczkach” chętnie pisała prasa. Ten tekst ukazał się na łamach tygodnika studenckiego „ItD” w 1976 roku

w 1973 roku redaktorowi jednej z gazet. Nie wchodzimy do nich, bo doktor się boi, byśmy coś nie zgrandzili. Ale jeśli partyzant zechce, może zostać szpakiem. Tylko że my tu nie mamy żadnego rygoru”.

Różni ludzie próbowali pomagać doktorowi. Na początku lat siedemdziesiątych do redakcji jednej z gdańskich gazet dotarł taki list: „Doktorze Nowak, nie jestem krezusem, ale proszę o adres, chcę się skontaktować

nieć, a budowlancom zlecił adaptację innego pomieszczenia dla podopiecznych Nowaka. Nowy lokal był gotowy dopiero w listopadzie 1975 roku. Jednak niebezpieczne było z niego korzystać. Nie działała wadliwie zainstalowana wentylacja, a piece elektryczne groziły pożarem. Ze ścian opadał tynk. Parkiet wybrzuszał się do wysokości ponad dwudziestu centymetrów. Winidurowy basen przeciekał. Jak napisał redaktor studenckiego tygodnika

kalna w skali kraju wystawa „Sztuka dziecka – niewidomym”, otwarta w maju 1977 roku. Prace powstały w wydzielonej grupie, której „szpaczki” nadały nazwę „Ptaki Słońca”. Dzieci niewidome i zdrowe pracowały wspólnie, te ostatnie służyły niewidomym jako asystenci. W tamtych latach nie było jeszcze w Polsce przedszkoli ani szkół integracyjnych, są więc powody, by uważać, że pierwsza taka inicjatywa nie przyszła do nas, jak to często bywa, zza granicy, ale narodziła się w Gdańsku.

Niewidome „Ptaki Słońca” poznawały świat, dotykając specjalnie dla nich przygotowanych linorytów i wyklejank fotograficznych. Doktor sprawił też, że mogły przeżyć przygodę tworzenia. A wyglądało to tak, że na papierze fotograficznym wykładały z pasków plastra zakomponowane przez siebie obrazy. Później, po naświetleniu i wywołaniu, asystujące dziecko widzące zdzierano plastry i opowiadało niewidomemu, co na takim obrazie widzi.

Władze miasta mało ceniły dorobek Nowaka, ale jego pracę wysoko ocenili jego mieszkańcy, którzy w dorocznym plebiscycie wybrali go Gdańszczaninem Roku

– lalkarzem Siergiejem Obrazcowem. Jedna z gazet skomentowała ten fakt znanymi słowami: „ci na dzieciach »zabiają«, Nowak – nie, niewiele ma, a jeszcze rozdaje”. W czerwcu 1980 roku znalazł się wśród laureatów premiera za twórczość dla dzieci.

W styczniu 1968 roku studencki tygodnik „Radar”, w niemieckojęzycznej mutacji, przedrukował z warszawskiej „Fotografii” artykuł Nowaka, w którym doktor przedstawił swoje zabawy fotoplastyczne. W kraju zainteresowało się nimi kilka przedszkoli. W RFN opisał je Zygfryd Re-

ze „szpakami korespondencyjnymi” zamari po kilku podwyżkach opłat pocztowych. Doktor kupował znaczki za własne pieniądze ze skromnej emerytury. W 1985 roku istniało już tylko gniazdo przy „Topolówce”.

Aktywny do ostatniej chwili doktor zmarł nagle 10 marca 1986 roku (przed dwudziestu laty), w domowym fotelu podczas sjeisty. Dzień lub dwa po pogrzebie pani Wierysława włożyła palto, nacisnęła kapelusz i pośpieszyła do liceum. Śmierć śmiercią, a tam czekały „szpaczki”.

Wydaje się, że już nikt nie kontynuuje dzieła doktora-społecznika. A ono żyje i nawet owo-

AWEL POŻAŻYCKI

DZIECI NIE MOGĄ SIĘ NUDZIĆ

**WSZYSTKIEMU WINIEN JEST NOWAK. ZAMIAST TRZYMAĆ SIĘ
JAK LEKARZ, W BIAŁYM KITLU CHODZIĆ, HONORY ODBIERAĆ —
W GŁOWIE MU TRELE-MORELE I ZAJMOWANIE SIĘ CUDZYMİ BA-
CHORAMI. PRZEZ CO CAŁA AFERA I ZNOWU WSTYD DLA GDAŃSKA.**

— Zawsze marzyłem o miasteczku chłopców. O takim małym społeczeństwie, które miałoby w swym herbie serce. Zabrzmiało to może dziwnie, ale częściowo marzenia te spełniła wojna. Pracowałem w szpitalu. Epidemia tyfusu zabierała rodziców, dzieci pozostawały. Wówczas były moje. Część z nich zasilila późniejszą szereg partyzantki i wojska, najmłodszych zaadoptowali powracający do kraju repatrianci.

Po wojnie osiedlił się w Gdańsku. Zaprzyjaźnił się z artystą fotografikiem Tadeuszem Szpakiem, z którym znalazł wspólny język w pracy twórczej i w propagowaniu fotografii wśród najmłodszych. W 1959 Szpak nagle umiera. Dziecięca społeczność traci

które „urodziły się w piątek trzynastego”: trudne, niechciane, zagubione.

— Przychodzą do nas dzieci różne. Grzeczne, dobrane uczące się i takie, których nikt nie chce; które nie mieszczą się w schematach wychowawczych szkoły i organizacji młodzieżowych. Są to tak zwane dzieci trudne lub dziwne — jak się je nazywa. Nie uznają żadnej dyscypliny, lubią swobodę, zupełną niezależność. Wymagają szczególnej opieki. Przede wszystkim jednak potrzebują dużo ciepła, którego nie znajdują ani u rodziców, ani u współtowarzyszy i zabaw. Otoczone specjalną troską przywykają jednak powoli do jarzma cywilizacji i porządku. Bardzo czę-

ki: sozografia, sozografika i sozofotografika (przedstawiamy je na str. 14). Sozografika doczekała się patentu, według sozografii zaś — po opublikowaniu jej zasad przez miesięcznik „Fotografia”, a następnie przedrukowaniu przez fachowe pisma niemieckie — prowadzone są już od kilku lat kursy fotograficzne dla małych dzieci w RFN, a od niedawna — również w kilku przedszkolach na terenie kraju.

Akcja „szpaczkowa” liczy z górą siedemnaście godzin zajęć w sekcjach zainteresowań, setki wysłuchów w plener, wystaw, wieczornych. Samych publikacji w prasowych na temat „Szpaczków” zebraliśmy się półny tom. Co jednak w tej unikalnej, a ogromnie pięknej inicjatywie zaskakujące, że realizowana ona przez doktora i jego żonę społecznie, z mocą co prawda niemałą — ale bardzo zmien na przestrzeni lat to nie płaci. Więcej — „Szpaczki” ani złotówki za to nie płaci. Więcej — „Szpaczki” nikogo nie kosztują. Skąd więc brały się i biorą pieniądze na papier, farby, materiały fotograficzne, skoro nikt dotacji „Szpaczkom” nie daje, a przecież do kółka jest bezpłatna? Nie wnioskując, że „Szpaczki” wydatkowane zostało z budżetu domu go pp. Nowaków, trzeba tu złożyć ułkon podziękowania licznym instytucjom. Wybrzeża i samorząd, dzięki nim mogło powstać między innymi jedyne w kraju Muzeum Fotografii. Za tę pomoc przyznaje coroczne nagrody „Błękitnego Szpaka” laureatom nie figurującym jednak nikt si potencjalnych — wydawałoby się pierwszoplanowej — „szpaczkowej” idei, za których — sojuszników „szpaczkowej” i kultury w

sku. Pisała o tym już 10 lat temu Izabella Nowska z „Głosu Wybrzeża”.

Nadszedł czas, że pomoc dla „Szpaczków” je zbędna. Sily fizyczne dra Nowaka, bez którego „Szpaczki” by nie powstały i bez którego nie mógł istnieć by mogły, są na wyczerpaniu. Nowy stan jego zdrowia nie pozwala mu już na nuowanie pięknej pracy z dziećmi i młodzieżą. kresie dotychczasowym i w dotychczasowy „Szpaczkami” muszą wreszcie zainteresować się dzie oświaty i kultury. Jak im pomóc? Ich Jedno ostrzeżenie tylko: na nie tu wszelkie sacyjne schematy. Np. organizacyjno-finansow- zanie kółka z jedną szkołą nie zda egzamin- ciążby dlatego, że do „Szpaczków” należą wielu szkół. Zresztą „Szpaczki” to wolne trzeba znaleźć takie formy opieki i pomocy nie będą ograniczali ich wielu wymienionych pominiętych inicjatyw.

**OD CZASU WYDRUKOWANIA TEGO
MINĘŁO DZIESIĘĆ LAT. I OTO DOW-
OD CZASU WYDRUKOWANIA TEGO
MINĘŁO DZIESIĘĆ LAT. I OTO DOW-**

kuje. Pozostała cała rzesza naprostowanych „gawronów” i „szpaków”, które wiodą sensowne życie w rodzinach. Niektóre doczekały się wnuków i prawnuków. Od czasu do czasu przypominają o sobie Jarkowi, synowi doktora.

Część cytowanych wypowiedzi przeredagowałem, nie zmieniałem jednak ich treści.

1972. Były jeszcze inne prestiżowe odznaczenie. W 1973 roku Kapituła Dziecięcego Orderu Uśmiechu przyznała mu swoje wyróżnienie, które odbierał w doborowym gronie z poetką Wandą Chotomską, plastykiem Szymonem Kobylińskim i aktorem-

mann z Frankfurtu nad Menem w książce „Das Fotograferbuch”.

ata osiemdziesiąte to jakby zmierzch- lery „szpaczków”. Zdmuchiwane przez wiatry historii gniazda stopniowo rozsypywały się w Trójmieście i w Polsce. Kontakt

Wykorzystano:
Bracki Maciej, „Szpaczki”, „Fakty i myśli”, nr 24/1972;
Ciecholewska Krystyna, „Doktor Nowak czyli serce w herbie”, „Litera”, Gdańsk, listopad 1971;
Celichowska Krystyna, „Aż się prosi o happy end”, „Wieczór Wybrzeża”, 15 XII 1971;

Dutkowski Jarosław, „Szpaczkografia”, „Student” nr 195/1977;
(it) [Izabella Trojanowska], „Szpaczki” dr Nowaka”, „Dziennik Bałtycki”, 7 III 1961;
(it) [Izabella Trojanowska], „Środa u »Szpaczków«”, „Dziennik Bałtycki” — 22 X 1961;
Kubiak Stanisław, „Iść, jak serce każe”,

„Czas”, nr 2/1981;
Niewiarowska Felcja, „Szpaczki”, „Rodzina i Szkoła”, czerwiec 1964;
Nowak Henryk, „Kunst-Aktiv im 4. Lebensjahr”, „Radar”, 1/1968;
Nowak Henryk, „Kwiatki z czarodziejskiej łączki”, „Głos Wybrzeża”, 10 XII 1969;
„Pierwszy powojenny rocznik studentów medycyny w Gdańsku (1945-1950)”,

Gdańsk 2000,
Pożayicki Paweł, „Dzieci nie mogą się nudzić”, „ITD”, 5 XII 1976;
Sułocka Jaga, „Wiosenny odlot »Szpaczków«”, „Świat Młodych” nr 54/1976;
Weiss Krystyna, „Zabierz nudę”, „Czas” 7/1977;
Wiśniewski Romuald, „Paczka doktora Nowaka”, „Trybuna Ludu”, 27 I 1973

SEKRETY MOSTÓW nad kanałem Raduni

Tekst i Foto:

Tadeusz T. Głuszko



Nikt się nie dziwi, że fundatorzy i budowniczości kościołów umieszczali w nich informacje o sobie i swoich czasach, które ukrywano czasem w wieńczących wieże metalowych kulach. Dzisiaj, przy okazji remontów czy rozbiórek, kule takie są otwierane z wielkimi emocjami. Co jakiś czas odkrywamy też zupełnie „prywatne” listy do potomnych, które pozostawiali rozmaici „budowlańcy” w różnych miejscach, np. przed kilkoma miesiącami taki list odnaleziono podczas remontu w Bibliotece Wojewódzkiej przy Targu Rakowym.

Blaszka odnaleziona przy tarczy herbowej



Okazuje się, że pamiątki z dawnych lat odnajdujemy też na mostach. Jedną z nich odkryto podczas konserwacji stalowego mostku kratownicowego na kanale Raduni, w ogrodzie Mały Błędnik przy Hucisku. Mostek powstał w 1900 roku. Jest bardzo urokliwy. Być może jego elegancja i estetycznie wysmakowana konstrukcja miały podkreślać oczekiwania gdańszczan związane ze zmianą stuleci. Przed tysiącleciem Gdańska, które obchodzono w 1997 roku, miasto postanowiło odnowić ten trakt nad kanałem. Kiedy demontowano wieńczące mostek tarcze herbowe (są tam dwie kute i polichromowane tarcze z herbem Gdańska, zwrócone ku wschodniemu i zachodniemu brzegowi kanału), konserwatorzy wydobyli skrawek pofalowanej blachy z odcisniętym napisem „A. MARQUARD 28.7.1900”.

W dostępnych księgach adresowych nie udało nam się znaleźć żadnego A. Marquarda, który mógł herb wykuć lub pomalować. Ale pamięć o nim pozostaje. Jest przecież ta blaszana wizytówka i nasza wzmianka o tym znalezisku, które mogą kogoś zainspirować do tropienia wydarzeń sprzed stulecia.

Inny charakter ma „inskrypeja”, którą odkryto i udostępniono podczas realizowanej właśnie rekonstrukcji i modernizacji

Stuletni mostek przy Parku im. Konopnickiej poddano renowacji w ostatnich latach XX wieku



Most na Dylach będzie gotowy prawdopodobnie już w kwietniu. Fragment belki „z sercami” wmontowano w luk przęsła (na zdjęciu to lewe przęsło osłonięte niebieską folią)

mostu, który biegnie nad kanałem Raduni na przedłużeniu ulicy Sukienniczej, w okolicy placu Obrońców Poczty Polskiej na Starym Mieście. (Stąd już blisko do ujścia kanału, z mostu prawie widać Motławę). Jest to stalowa konstrukcja kratownicowa z jazdą pośrodku, tzn. jezdnia wiedzie w połowie wysokości ażurowych dźwigarów (kratownie) – typ nieczęsto u nas spotykany. Most powstał prawdopodobnie również w 1900 roku.

Na tym obiekcie znaleziono zapis wielkiego uczucia. Są to wybite punktakiem w metalowej belce dwa serca: w lewym odczytujemy litery „OK” (przypuszczalnie inicjały wybranki), w prawym – „AB” (może inicjały zakochanego?). Między sercami widnieje liczba „1900” – zapewne data. Nad każdym sercem wypunktowano jedną kropkę.

Twórca tego dzieła miał kłopoty z kaligrafią, a może trzeba się domyślać, że pracował w bardzo trudnych warunkach. Pismo i rysunek serca są dość niezdarne. Ale wartość tego świadectwa nie tkwi przecież w estetyce przekazu, a raczej w determinacji zakochanego autora, który musiał włożyć wiele wysiłku, by zostawić po sobie taki ślad.

Nieznany gdańszczanin umieścił na swojej wyznaczonej na tzw. spodniej belce mostu, tzn. tej, która przebiega najbliżej wody. Za-

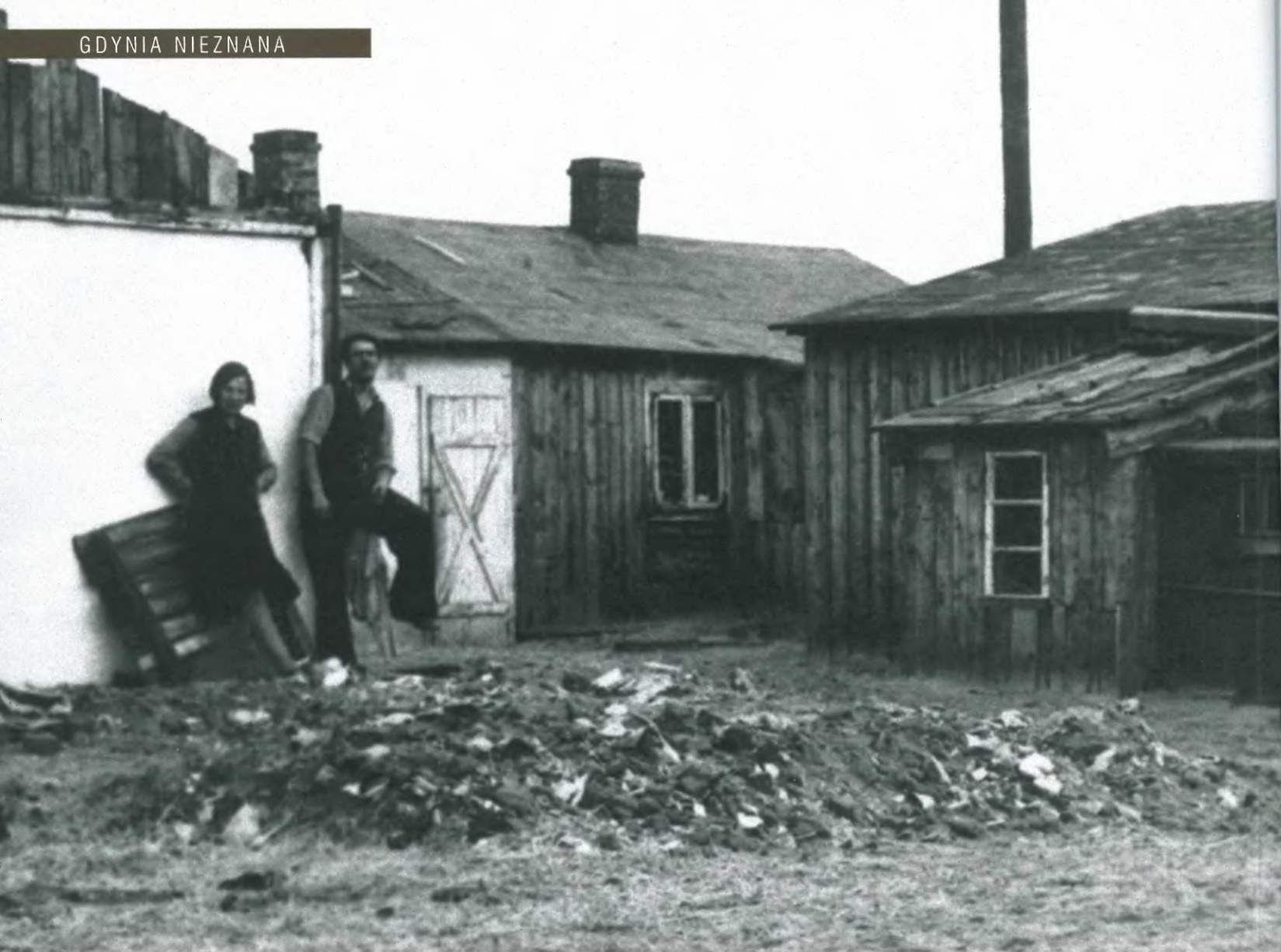
pewnie wykonał swoją pracę przed ostatecznym montażem całej konstrukcji. Trudno sobie wyobrazić, że zrobił to później, gdyż belka jest położona ponad dwa metry nad tonią kanału.

Nie wiemy, kim był zakochany. Może jednym z budowniczych mostu? Dobrze się

stało, że ekipa remontowo-konserwatorska wycięła fragment belki z napisem i wmontowała w północny luk przęsła. Przecho- dząc tędy nie można go nie zauważyć. Może dzięki tej „inskrypecji” Most na Dylach (oficjalnie taką nosi nazwę) zyska sławę Mostu Zakochanych? ■



Tak wygląda miłosa „inskrypecja” sprzed stulecia



Zabudowania „chińskiej dzielnicy” w okolicy ulicy Św. Wojciecha, ok. 1930

Dzielnica, po której zaginął ślad

Tekst: Michał Sikora

Idąc łąkami z Gdyni na Oksywie, mijając się tuż za gdyńskim rynkiem jakieś chaotyczne skupisko dziwnych zabudowań. Kłębiły się tu bez ładu i składu baraki, budy, szopy i szalasy. Skupisko to – tak na oko – liczyło kilkadziesiąt „zabudowań”, a materiał do jego budowy stanowiły odpady desek, zardzewiałe blachy, stare kartony i strzępy papy. Z każdego budyneczku sterczała blaszana rura kominka, a wydobywa-

jący się z niej dym świadczył, że mieszkają w nim ludzie.

To skupisko baraków i slumsów miejscowi nazywali „Pekinem” lub „chińską dzielnicą”. Nazwa dość egzotyczna, jak na polskie wybrzeże. Uzasadniano ją tym, że ponoć pierwszym osadnikiem był tu chiński marynarz, który dla celów mieszkalnych sklecił jedną z bud. Za nim poszli inni i niebawem powstała cała dzielnica slumsów.

Działo się to z początkiem lat dwudziestych XX wieku, gdy we wsi Gdynia rozpoczęło działalność drewniane molo, na wyrost zwane portem wojennym i przystanią dla rybaków. Dzielnica usadowiła się tuż u nasady tego „portu”, i to było jej głównym atutem, bowiem stąd był tylko żabi skok do śródmieścia, a także do portu handlowego, który szybko powstawał na kaszubskich piaskach i torfowiskach.

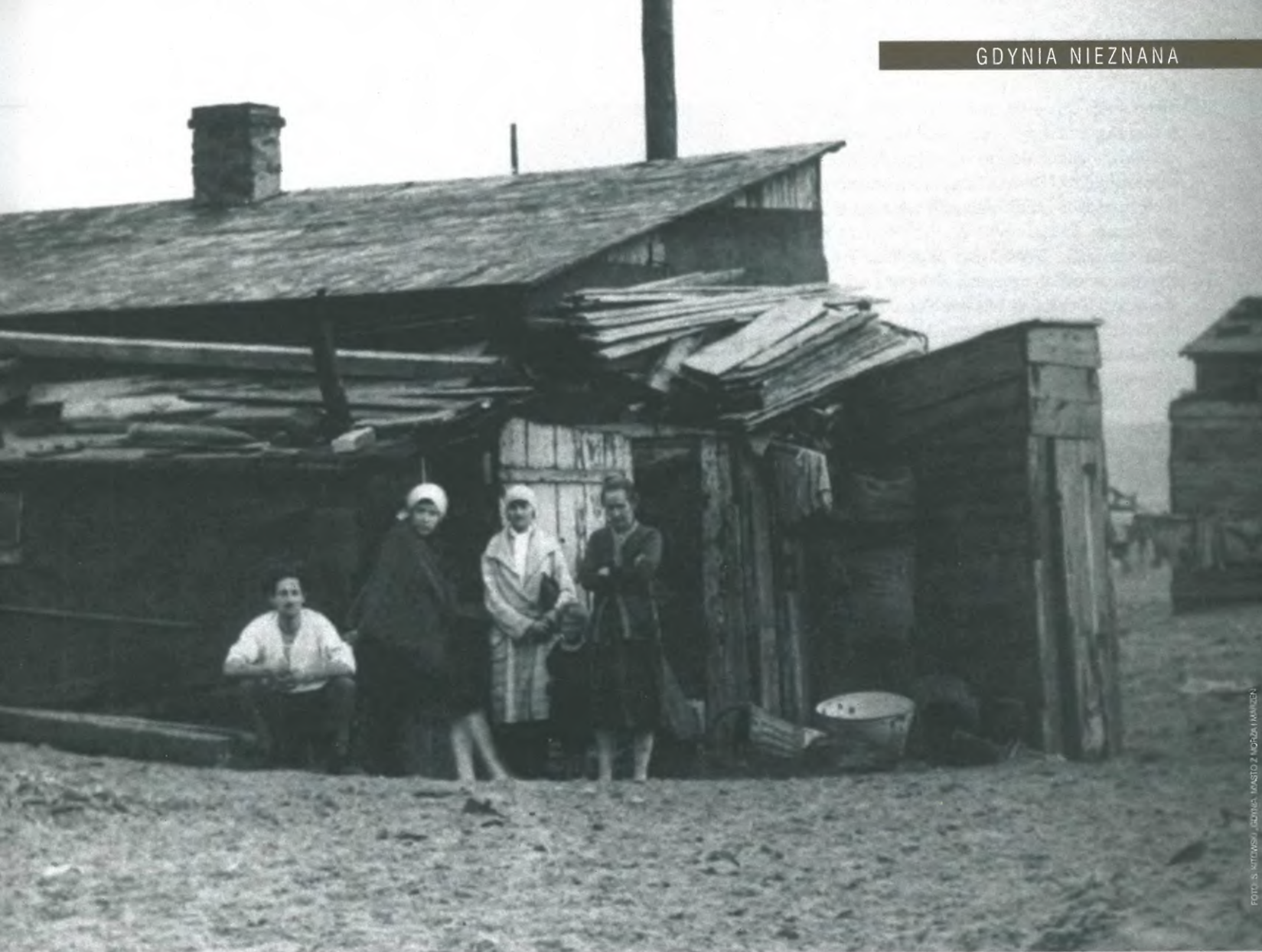


FOTO: S. DAWID, Gdynia, MIASTO Z MORZA I MIAŁO

Port rósł w oczach. Równolegle rosło miasto, a także „Pekin”, położony na styku między portem i miastem. Baraków i szop przybywało. Przybywało także mieszkańców owej dzielnicy. Tu bowiem najtaniej można było znaleźć kąt do spania, spotkać werbownika oferującego pracę w porcie, na statku lub na budowie. Tak więc stał się

„Pekin” rezerwuarem siły roboczej, sypialnią, a z czasem również miejscem zapewniającym rozrywkę.

Jak się rzekło, „Pekin” powstał żywiołowo i na dziko. Bez planu zabudowy, bez wytyczenia dróg lub ścieżek, a – co gorsza – bez kanalizacji, bieżącej wody, elektryczności i innych cywilizacyjnych i sanitarnych

udogodnień. Pomędzy chaotyczną zabudową, omijając linki i sznurki z suszącą się bielizną, pętali się ludzie. Głównie młodzi mężczyźni, rzadziej kobiety. Dzieci się tu nie widziało. W pobliżu zabudowań za ludźmi włóczyły się watahy kotów różnej maści i wielkości. Liczne z nich wylegiwały się na dachach. Nie lękały się ludzie, jakby świa- ►

Baraki mieszkalne przy ulicy Węglowej



FOTO: S. DAWID, Gdynia, MIASTO Z MORZA I MIAŁO

dome ważności swojej roli, jaką odgrywały w tym zaszczurzonym przyportowym świecie. Dziwne, ale psów się nie widywało. Widocznie były w „Pekinie” zbędne, bo mienie tu zgromadzone nie wymagało ich czujności i straży.

W zasadzie „Pekin” był sypialnią. We dnie jego mieszkańcy pracowali lub poszukiwali pracy. Tu właśnie mieszkali autentyczni budowniczowie miasta i portu. Ale poza proletariatem gnieździło się też sporo niebieskich ptaków – kundów portowych, drobnych złodziejasków, sutenerów i oszustów. Jednakże przeważali ci, którzy napływali z różnych stron Polski: robotnicy niewykwalifikowani, którzy podejmowali się każdej pracy, nawet niskopłatnej, byle zarobić na przeżycie kolejnego dnia. W cenie była praca stała. Ona pozwalała na ciulacze oszczędności, na wysłanie kilku złotych rodzinie, bądź nawet na postawienie własnego baraku na dzierżawionym na peryferiach kawałku parceli. To nobilitowało i stabilizowało. Ale taki fart zdarzał się niezbyt często. Najgorsze były zimy. Zamierały wtedy prace budowlane, a nierzadko stawał też port. Kto w lecie nie zgromadził zapasów gotówki, a skazany był na przezimowanie na miejscu, ten wegetował, żył z pożyczek, drobnych kradzieży, bądź zostawał utrzymaniem. Różnie to bywało.

A zimy w Gdyni były tęgie. Długotrwałe, mroźne i śnieżne. Często zasyły sięgały dachów slumsów w „Pekinie”. Wtedy jego mieszkańcy wychodzili tylko po najbardziej niezbędne sprawunki, przedzierając się przez zwały śniegu do najbliższej kolonialki lub do knajpy. A knajpa w „Pekinie” była tylko jedna – ta, którą prowadziła Liebrechtka. Inne były dopiero przy ulicy Portowej, ale nie były przeznaczone dla głodomorów z tej dzielnicy. Tylko do Liebrechtki można było wejść bez krawata, w połatanych portkach, a nawet bez zasobnego portfela. A właścicielka mieszczącej się w niewielkim baraku portowej tawerny była dobrym duchem „Pekinu”. Od jej przybycia i osiedlenia się w tej dzielnicy los jej mieszkańców uległ znaczącej poprawie. Tu można było coś przekąsić dosłownie za grosze, coś wypić – sznapsa lub grzane piwo, pogaworzyć ze znajomkami, zagrać w karty, a co najważniejsze osuszyć się i zagrzać.

Knajpa Liebrechtki była równolatką „Pekinu”, bowiem już latem 1923 roku przybyła do Gdyni kobieta – nie pytając nikogo o zgodę – postawiła swój barak. Jak na warunki tej dzielnicy był dość solidny, chociaż niewielki. Liebrechtka, młoda wdowa po zajęczkowskim kolejarzu, zainwestowała tu wszystkie posiadane oszczędności: spłatę z gospodarstwa rolnego, a także odszkodowanie wypłacone po tragicznej śmierci męża.



Po likwidacji „Pekinu” dzielnice baraków powstały w innych miejscach, m.in. na Grabówku, ok. 1935

Początkowo zamierzała uruchomić przy porcie jadalnię dla robotników. Jednak przekonała się, że bez piwa i sznapsa jadalnia nie zapewni jej oczekiwanego zysku. Sprowadziła więc „ze swoich stron” kuzynkę Marię, którą z niemiecka wolano Marichen. Odtąd obie kobiety wzięły się energicznie do dzieła. Liebrechtka za szynkasem serwowała sznapsy, grogi i piwo, a Marichen działała na zapleczu, przygotowując przekąski, pichcąc rybne dania, odgrzewając parówki i kaszanki. Na brak pracy kobiety nie narzekały, bo owych kilka stolików, którymi dysponowała knajpa, było ciągle zajętych.

Już od rana przychodzili tu robotnicy z nocnej szychty. Trafiali też prosto z dworca przybysze z Polski. Tu ciepła i „klina” szukały portowe męty, które nie wiadomo gdzie spędziły noc. W ciągu dnia ruch nieco malał, chyba że niepogoda lub mróz zmuszały ludzi do szukania schronienia.

Przybytek był bezimienny. Mówiło się: „u Liebrechtki”, i to wystarczało. Ale obcym nie było tu łatwo trafić. Trzeba było pokonać labirynt nieoznaczonych ścieżek, często pytając tubylców o drogę. Kłopoty były zwłaszcza jesienią i zimą, gdy rychło zapadał zmrok. Cały teren był bowiem nieoświetlony, a migotliwe światelka naftowych lamp i świec, padające z niewiel-



FOTO: S. KITOWSKI, GDYNIA, MIASTO Z MORZA, MARZEC

kich okienek slumsów, tylko nieznacznie łagodziły „egipskie ciemności”.

Wkrótce jednak sytuacja uległa radykalnej poprawie. Sprawił to Alojz. A było to tak. Pewnego deszczowego popołudnia do knajpy przybył niestary inwalida bez prawej nogi. Podpierając się drewnianą kulą, z czarnym pudłem akordeonu na plecach, wtoczył się zadyszany do lokalu. Rozgościwszy się przy wolnym stoliku, zamówił porcję smażonej flądry i setkę sznapsa. Kiedy uporał się z jedzeniem, wyciągnął z pudła instrument i lokal wypełnił się dźwiękami dobrze znanej wśród marynarzy „La Palomy”. Gwar ucichł. Obecni w skupieniu słuchali rzewnej melodii, a po

ostatnim akordzie ruszyli hurmem do Alojza, zamawiając następne melodie, ściskając mu dłonie i fundując kolejne przekąski i napitki. Grajek przebojem zdobył serca portowej braci. Także Liebrechtka zaakceptowała go z życzliwością, w lot pojawiając się, że jego muzyka jest dodatkową atrakcją lokalu i wspinała się darem losu. Odtąd Alojz na stałe zacamował w knajpie, a dźwięki jego instrumentu stały się dla nowych klientów wyraźnym kierunkowskazem, niczym boja dla statków we mgle.

Alojz grał od wczesnych godzin rannych do późnej nocy. Jego repertuar był wszechstronny i różnorodny. Polski, niemiecki i kaszubski, bo jak się okazało Alojz

nie tylko grał, ale i śpiewał. Głos miał wprawdzie nieco ochrypły, jak mówiono typowy sznapsbaryton, ale to klienteli lokalu zupełnie nie przeszkadzało. Umiejętnie sobie akompaniując, nucił kolejne piosenki, a znał ich wiele. W zależności od „temperatury” w lokalu, rodzaju gości, a nawet panującej na zewnątrz pogody, dostosowywał odpowiednią muzykę i piosenki. Mówiono, że jego granie jest „internacjonal”, bo takie też było. Dla Polaków były piosenki legionowe i ułańskie, dla Niemców i Skandynawów – melodie marynarskie, a dla miejscowych Kaszubów i Pomorzaków – trojaki, szępre i inne z tego regionu Polski. Nie grał tylko pieśni kościelnych i religijnych, uważając, że nie pasują do portowej knajpy, że groziłoby to profanacją.

Alojz w zasadzie przeszedł na utrzymanie Liebrechtki. Ona go żywiła. Pił niewiele, tylko wtedy, gdy ktoś mu postawił kufel piwa lub kieliszek czystej, a że miał tak zwaną „mocną głowę”, nigdy się nie upijał. Było to ważne, bo pijany muzyk to żaden muzyk, co wiedzą wszyscy organizatorzy wesel, urodzin i tym podobnych imprez. Zamieszkał w pobliżu knajpy, w jednym ze sąsiadującym z nią slumsów. Tam za grosze wynajmował łóżko. Tyle tylko potrzebował, bo rzeczywiście cały swój czas spędzał u Liebrechtki. Do budującego się miasta wychodził sporadycznie, a do portu nie wychodził wcale. Wynikało to zapewne z jego kalectwa, bo był dość otyły, a kula, którą się podpierał, zapadała się w piach bądź torf owych gdyńskich „ulic”. Ulice te bowiem dopiero się budowały, a w tym czasie było tak jak było.

Chociaż Alojz u Liebrechtki grał tylko za wikt i ciepły kąt, to jednak z czasem uciulał całkiem spory grosz. Podchmieleni marynarze, zwłaszcza zagraniczni, wdzięczni za muzykę i pieśni, niekiedy dość szczerze wrzucali monety do jego bosmańskiej czapki, którą zwykle kładł obok siebie na ławie. Z biegiem lat jego sława – a wraz z nią sława knajpy – rozeszła się nie tylko po Gdyni i jej najbliższych okolicach, ale ogarnęła bez mała całe Pomorze, a nawet docierała do odległych, morskich portów.

Poza muzyką Alojza atmosferę knajpy tworzył też prosty, wręcz spartański wystrój. Proste stoły i ławy, przyćmione wnętrza oświetlane nielicznymi naftowymi lampami, ale też serdeczna obsługa. I zapach starej tawerny, takiej z czasów żaglowców, gdzie dym fajek mieszał się z zapachem prostego jada, piwa i wódki. Wnet do zapachów tych doszedł kolejny: zapach tanich perfum, który przywędrował wraz z kilkoma portowymi dziewczkami. Liebrechtka tolerowała obecność tych „panienek”, znała bowiem życie i wiedziała, że nie ma na świecie portowego miasta, w którym by ich nie było.



FOTO: S. KITOWSKI, GDYNIA, MIASTO Z MORZA I MARZEN

Jeden z domków „drewnianej Warszawy”, ok. 1935

Sama też do świętych nie należała. Choć wierna pamięci swojego tragicznie zmarłego męża starała się zachowywać w sprawach erotycznych daleko idący umiar, to od czasu do czasu – gdy sobie podochociła – korzystała z uciech życia. Sporażdy więc, po wypiciu nieco wódki, wchodziła na największy stół i w rytm muzyki Alojza tańczyła rodzaj kankana. Płasała, zadzierając spódnicę i fikała nogami, budząc powszechną wesołość. Następnie nie schodząc ze stołu odśpiewywała smętną piosenkę pomorską, której refren brzmiał:

*Hulala, hulala gąski moje,
Hulala, hulala, do domu.
Opowiem wam troski moje,
Nie powtórzcie nikomu...*

Był to sygnał dla Marichen, aby zastąpić szefową za szynkwasem, bo ta będąc w niedyspozycji, wybierała sobie z sali jakiegoś przystojniaka i wynosiła się do swojej kwatery.

Marichen nigdy nie pozwalała sobie na takie ekscesy. W „jej stronach”, jak mówiła, czekał na nią narzeczony, a ona pracując w knajpie zbierała napiwki na posag. Przygody erotyczne nie interesowały również Alojza. Niektórzy stali bywalcy knajpy żartowali, że muzyk na wojnie stracił nie tylko nogę. Te żarty go nie obrażały, był ponad nie. Czasami tylko, przekomarzając się z Marichen, pół żartem, pół serio, robił jej niedwuznaczne propozycje. Wtedy dziewczyna, pusząc się i rumieniąc, kryła się na kuchennym zapleczu. Tam Alojz nigdy nie wchodził, tam było królestwo kobiet.

Liebrechtka była jedyną osobą, której przysługiwało prawo do tańców w knajpie. Ciasnota lokalu na takie rozrywki nie pozwalała. Bywalcom to jednak nie przeszkadzało, bo dominowali mężczyźni (jak w całej ówczesnej Gdyni), a im wystarczył alkohol, karty i pogaduszki. Nieczęsto korzystano też z portowych pańienek. Było to kosztow-

ne, a poza tym istniało poważne niebezpieczeństwo chorób wenerycznych. Takich usług szukali głównie zagraniczni marynarze, których w Gdyni pojawiała się coraz więcej.

Z reguły u Liebrechtki panował spokój i porządek. Sporażdy tylko dochodziło do prób pijackich awantur, ale te w zarodku tłumiał Alojz. Gdy przy kartach bądź sznapsie rozpoczynała się szarpanina, Alojz przerywał granie i podnosząc się z ławy gromkim głosem rzucał jedno tylko słowo: „raus!”. To zwykle wystarczało. Awanturnicy wytaczali się przed lokal, gdzie spór kończył się najczęściej bójką. Ale to już ani Alojza, ani Liebrechtki nie interesowało. To należało do obowiązku „chłopców inspektora Dąbka”, jak potocznie nazywano policjantów. To oni aresztowali podejrzanych o różne przestępstwa niebieskich ptaków, przepędzali włóczęgów, uśmierzali bójki, prowadzili śledztwa, wylapywali portowe



FOTO: S. KITOWSKI, GDYNIA, MIASTO Z MORZA I MARZENIA

Takie osiedla tworzyły się samorzutnie – „Wzgórze Bernarda” na Grabówku, ok. 1935

panienki, sprawdzając ich książeczki zdrowia, bądź eskortowali je na badania i leczenie do Wejherowa lub na Grabówek.

Policjanci wizytowali też lokal Liebrechtka i jego najbliższe otoczenie, czyli „Pekin”, oraz chaszczę przylegającą do budującego się portu. Można tu było spotkać „śpiących pod listkiem” włóczęgów, „kochające się” w krzakach pary, a niekiedy nawet zwłoki jakiegoś nieszczęśnika okradzionego z wszelkich doczesnych dóbr. Najbliższe skupisko takich krzewów znajdowało się po przeciwnej stronie „Pekinu”, tuż za ulicą Portową. Często dochodziło tu do regularnych bitew, które niekiedy miały charakter „międzynarodowy”. Bili się wtedy np. Polacy ze Skandynawami lub Finowie ze Szwedami. Bójki były krwawe, w ruch szły noże, drągi bądź sztachety. Dlatego jedną z pierwszych decyzji inspektora Dąbka, kiedy objął funkcję w gdyńskiej policji, było polecenie wycięcia chasz-

czy w tym rejonie. To poprawiło nieco stan bezpieczeństwa, ale gdynianie nadal unikała tej okolicy, zwłaszcza nocą.

Był więc „Pekin” nie tylko przystanią dla robotników, sypialnią i poczekalnią, w której wyczekiwano na pracę, na lut szczęścia, na fart, ale też siedliskiem zła. Poza tym spełniał rolę filtra, który zatrzymywał męty własne, czyli polskie, jak i zagraniczne. Jednak na dłuższą metę władze nie mogły tolerować takiego stanu rzeczy. W pobliżu rósł nowoczesny Dworzec Morski, rozwijał się ruch emigracyjny i turystyczny, a tu, jak na urągowisko, funkcjonował „Pekin”.

Zdecydowano się rozwiązać problem kompleksowo. Na przyległym do Gdyni Witominie wyznaczono działki budowlane, a następnie na dogodnych warunkach kredytowych umożliwiono mieszkańcom „Pekinu” budowę skromnych domków jednorodzinnych. Wprawdzie czas był po temu

nieszczerólny, bo rozpoczynał się właśnie wielki kryzys ekonomiczny i wszystkie związane z nim trudności finansowe. Ale tak się to ułożyło.

W 1930 roku przystąpiono do wysiedleń i likwidacji „Pekinu”. Część mieszkańców sama się wykwaterowała, przenosząc się do innych, podobnych dzielnic na peryferiach Gdyni – na Meksyk, Betlejem, Bernardowo, Demptowo. Inni, którym nie udało się zakotwiczyć, wracali w rodzinne strony. W strony rodzinne – w okolice Teczewa – wyniosły się też Liebrechtka i Marichen. Ich dalsze losy nie są mi znane. Natomiast Alojz przeniósł się ponoć w okolice Kartuz i zarabiał na życie grą na weselach. Portowe panienki rozpełzły się po Gdyni. A na terenie, na którym przez lat prawie dziesięć istniała „chińska dzielnica” zwana też „Pekinem”, rozprzestrzeniła się Stocznia Remontowa „Nauta”.

Po „Pekinie” nie pozostał nawet ślad. ■

Tekst: Natalia i Waldemar Borzestowscy

Kawaler Bem



FOTO: MUZEUM OKRĘGOWE TORUŃ / PUBLIKACJA WPA&G

„Z odwagi i znajomości sztuki (artyleryjskiej) dobrze zalecony Józef Bem” – pisał o swoim podkomendnym kapitan Władysław Ostrowski.

Ulica nazwana jego imieniem znajduje się na Siedlcach. To przedwojenna Steubenstrasse. Biegnie obok Góry Gradowej i dawnych fortów, o które w okresie wojen napoleońskich toczono krwawe boje. Młody oficer uczestniczył w nich aktywnie, zyskując najwyższe uznanie przełożonych. Już wówczas można było w nim dostrzec niezwykle talent wojskowy, który w przyszłości miał zajaśnieć pełnym blaskiem. Józef Bem, bo o nim mowa, stał się symbolem walki „o waszą i naszą wol-

ność”. Na Węgrzech wciąż o nim pamiętają, o czym mogą świadczyć pojawiające się nowe publikacje, poświęcone dowódcy słynnej Armii Siedmiogrodzkiej, którego żołnierze otaczali niemal nabożną czcią.

Józef Bem, a właściwie Józef Zachariasz Bem, urodził się 14 marca 1794 roku w Tarnowie, na terenie zaboru austriackiego, jako poddany cesarza Franciszka I. Jego ojciec, Andrzej, był zdolnym adwokatem, który występował przed tarnowskim sądem, i profesorem matematyki w miejscowej szkole.

W 1803 roku otrzymał od cesarza cenną nobilitację. To po nim syn odziedziczył zamiłowanie do nauki i spory talent do przedmiotów ścisłych.

Zgodnie z wolą ojca Józef rozpoczął naukę w słynnym krakowskim gimnazjum Świętej Anny – wówczas przemianowanym na Cesarsko-Królewskie Gimnazjum Akademickie, gdzie był jednym z wyróżniających się uczniów. Już wówczas jego pasją była żołnierka. Podczas wakacji spędzanych na wsi urządzał niemal prawdziwe manewry wojskowe, które pewnego razu zakończyły się podpaleniem stodoły i uszkodzaniem, jakie musiał uiścić niezadowolony ojciec.

Młody Bem, jak większość polskiego społeczeństwa w tych czasach, z nadzieją przyglądał się wydarzeniom na zachodzie Europy. W 1806 roku Napoleon błyskawicznie przeniósł wojnę do Prus, w sąsiedztwo dawnej Rzeczypospolitej i obiecywał Polakom odrodzenie ojczyzny. W 1807 roku powstało Księstwo Warszawskie, które własnymi siłami wyparło Austriaków z części zagarniętych przez nich ziem polskich, odzyskując Kraków. Towarzyszyła temu prawdziwa euforia. Polacy zobowiązali się zwiększyć swoje wojska z 30 do 60 tysięcy. W 1809 roku, wśród ochotników pragnących wojennej sławy, znalazł się drobny, wąty, piętnastoletni Bem. Na punkcie poborowym nie pytano go o wiek, zgłosił się do artylerii.

Przydzielono go do 1. kompanii artylerii konnej, która stacjonowała w Czerwonym Prądniku. Był to elitarny pododdział, pierwsza tego typu jednostka w wojsku polskim. Utworzył ją Włodzimierz Potocki, syn targowiczana Szczęsnego. Józefa skierowano (za zgodą ojca) do warszawskiej Szkoły Elementarnej Artylerii i Inżynierii, gdzie bardzo intensywnie uczył się arytmetyki, geometrii praktycznej i teoretycznej, trygonometrii, algebry, topografii i języków: francuskiego, niemieckiego oraz rosyjskiego. Po sześciu miesiącach złożył wymagane egzaminy i kontynuował studia wojskowe w Szkole Aplikacji

FOTO: MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO / FIDUKACJA JHNG



Kapitan Władysław Ostrowski

cyjnej Artylerii i Inżynierii. 1 kwietnia 1810 roku został mianowany podporucznikiem artylerii. Mając szesnaście lat po raz pierwszy ubrał mundur oficerski. Józef Makowski, przyjaciel, tak pisał o swoim koledze: „był przez nas nazwany »Panienką«, tak był skromnym i do kobiet nieśmiałym, ale pilnym, pracowitym i w obcowaniu łagodnym”.

1 kwietnia 1811 roku książę Józef Poniąkowski, opiekun szkoły, minister wojny Księ-

stwa Warszawskiego, biorąc pod uwagę świetne wyniki w nauce, podpisał dla Bema akt nominacji na porucznika drugiej klasy. Młody żołnierz otrzymał przydział do baterii konnej, dowodzonej przez doskonałego oficera, kapitana Władysława Ostrowskiego, człowieka obdarzonego wieloma talentami, późniejszego marszałka Sejmu rewolucyjnego w powstaniu listopadowym. Na początku czerwca oddział ten wyruszył do Gdańska, by wzmocnić tutejszą, francusko-polską załogę. Od 1807 roku miasto było „wolnym”, choć w pełni zależnym od Francji, a Napoleon bezustannie podkreślał jego rolę dla dalszych działań zbrojnych na wschodzie Europy. Zwykły mawiał: „Gdańsk jest moim miastem, bo tam mam swoją załogę”. „Wolne Miasto” miało stanowić jedno z najważniejszych miejsc koncentracji wojsk przed kolejną wojenną wyprawą.

Już wkrótce Wielka Armia cesarza Francuzów, złożona z wojsk czternastu narodów, ruszyła w głąb Rosji. Przygotowaną kampanię Napoleon ogłosił jako „drugą wojnę polską”, zręcznie sugerując, że zależy mu na pełnym wskrzeszeniu Rzeczypospolitej. W 1812 roku osiemnastoletni Bem został mianowany porucznikiem pierwszej klasy i jako oficer artylerii X Korpusu Jacquesa Macdonalda wkroczył na terytorium Rosji. Na ówczesnym polu walki artyleria

Wojsko rosyjskie na przedmieściach Gdańska w 1813 roku, akwaforta J. Fleischmanna



FOTO: B. DAW



Mundur tzw. mały oficera
artylerii konnej Księstwa
Warszawskiego

odgrywała kluczową rolę (sam Napoleon był artylerzystą). Podczas bitwy, po uformowaniu sztyków, jej ogień kierowano na najsłabszy punkt nieprzyjaciela, aby następnie rzucić tam piechotę lub kawalerię do decydującego, przełamującego ataku.

Młodzieniec walczył ofiarnie i odważnie. Już wówczas cechowała go „śmiałość granicząca z nieodpowiedzialnością”. Posiadał dar szybkiego rozpoznania sytuacji i stałą gotowość do działania. Podczas kampanii rosyjskiej, w pobliżu Rygi, znajdując się w straży przedniej ze swoimi dwudziestoma artylerzystami, zaatakował siedemdziesięciosobowy wrogi posterunek i zebrał pięćdziesięciu jeńców. W połowie października Wielka Armia rozpoczęła odwrót, lecz do granicy Prus i Księstwa Warszawskiego dotarły jej żalosne resztki. Bateria Bema powróciła do fortecy gdańskiej.

15 stycznia 1813 roku silny oddział Kozaków pojawił się pod miastem, w lutym armia rosyjska otoczyła Gdańsk, uważany za jedną z potężniejszych twierdz ówczesnej Europy. Siły obrońców liczyły 39 tysięcy osób, w większości byłych żołnierzy X Korpusu, wynędzniałych i głodnych, z których ponad połowa nie była zdolna do walki z powodu chorób i dlatego została skierowana do naprędce przygotowanych lazaretów, gdzie też „niebawem prawie co do nogi wymarła”. Dowództwo nad tą „gromadą inwalidów” przejął generał gubernator Jean Rapp, „oficer równie błyskotliwy co odważny”. Czterokrotnie ranny podczas wyprawy na Moskwę powrócił do miasta z silnymi odmrożeniami twarzy i rąk oraz mocnym przeświadczeniem, że zdoła utrzymać powierzony mu posterunek, jak długo tylko będzie można.

Warunki w twierdzy były ciężkie – brakowało lekarstw, a wkrótce także żywności, przez miasto przemknęła, zbierając obfite żniwo, fala tyfusu głodowego. Zamknięci w okopach żołnierze organizowali wypadki, starając się rozzerwać pierścień oblężenia. Zima była wyjątkowo ciężka, rowy i fosy zasypane śniegiem, rzeki i kanały pokryte lodem, który trzeba było rozbijać, aby wróg nie wziął twierdzy niespodziewanym atakiem. Roboty trwały przy mrozach, które sięgały 28 stopni poniżej zera.

XVI baterią artylerii konnej kierował znany nam kapitan Ostrowski. Miał do swojej dyspozycji czterech oficerów i 131 artylerzystów. W rozkazach określono zadania tej formacji jako służbę „w dzielach zewnętrznych twierdzy”, to znaczy podczas bezpośrednich walk na przedpolu i organizowanych przeciwko nieprzyjacielowi wypadów, tzw. „wycieczek”. Jednocześnie artylerzyści podejmowali się rozmaitych zadań. W lutym 1813 roku ich dowódca zreagował ułotkę skierowaną do rosyjskich żołnierzy, którą przy pomocy rakiet rozrzucono nad okopami oblegających. Pod koniec kwietnia uczestniczyli czynnie w zakrojonej na szeroką skalę trzydniowej wyprawie na Mierzeję Wiślaną, zakończoną sukcesem, w której brało udział około 3 tysięcy żołnierzy. Jej celem było zdobycie i sprowadzenie do miasta żywności. Sam oddział artylerii konnej spędził za wały twierdzy osiemset sztuk bydła rogatego.

Od maja dowództwo nad wojskami oblężniczymi, do których przyłączyła się pruska dywizja, objął wuj cara Aleksandra I, książę Aleksander Wirtemberski, który postanowił w jak najkrótszym czasie zmusić miasto do kapitulacji. Odpowiedzią obleganych na zmasowane ataki były niespodziewane uderzenia na słabe punkty przeciwnika, wyprowadzane poza wały. 9 czerwca bateria Bema skutecznie osłaniała natarcie piechoty francuskiej i brygady generała Michała Radziwiłła w kierunku Oruni. Zaskoczeni Rosjanie bronili się z ogromną determinacją, bój był niezwykle zacięty i krwawy, o czym świadczy fakt, że pokonanym nie dawano pardonu. Nikt tego dnia nie brał jeńców.

Pod koniec sierpnia 1813 roku Rosjanie przypuścili niezwykle silne uderzenie, starając się w wielu miejscach przełamać linie obrony. Zaatakowano Orunię, Wrzeszcz, Siedlce oraz Stogi. Bateria konna wyróżniła się w zaciętych zmaganiach o utrzymanie Oruni. Kapi-

tan Ostrowski tak opisał te dni: „Nieprzyjaciela bagnietem zewsząd wyparto, zabito mu dużo ludzi, a najwięcej w wąwozie znajdującym się za lasem. Wszystkie stanowiska zajęliśmy i zarobiliśmy 62 jeńców, tak Prusaków jak Moskali”. W walkach o Wrzeszcz, podczas ulewnego deszczu, tak gwałtownego, że broń strzelać nie chciała, istotną rolę odegrał Bem i podległy mu oddział, który pojawiał się na polu bitwy zawsze w kluczowych momentach, zachwycał mobilnością i szybkimi manewrami. W biuletynach Wielkiej Armii wyróżniono nazwisko młodego oficera w raporcie dziennym. Swoje doświadczenia Bem miał potem wy-

nu, który bronił Gdańska, po dziesięciu miesiącach pozostało 16 tysięcy żołnierzy i oficerów. 30 grudnia 1813 roku Polacy, a Francuzi i Neapolitańczycy 2 stycznia 1814 roku, w szyku defiladowym opuścili miasto przez Bramę Oliwską. Na ich widok rosyjscy żołnierze prezentowali broń, bity w werble, a wojskowa orkiestra grała marszową muzykę. Bem mógł też zachować zyskany w boju Krzyż Kawalerski Legii Honorowej, który otrzymał za sprostanie zadaniom obronnym podczas oblężenia, co wpisano do jego „État de service”, książeczki wojskowej wystawionej w Gdańsku. Młody porucznik trafił do niewoli, skąd

a większość polskiej armii trafiła do twierdz i tymczasowych obozów w Gdańsku, Tczewie, Piławie i Grudziądzu.

Dwór berliński niechętnie przyglądał się przybyšom. Wydałby ich carowi, gdyby nie obawa, że wzbudzi to oburzenie w całej Europie. Jednak niebawem Mikołaj I ogłosił amnestię dla swych zbuntowanych poddanych. Około dziesięciu tysięcy Polaków wróciło do kraju, wielu z nich trafiło potem na front kaukaski.

15 grudnia 1831 roku Bem wyjechał do Dreżna. Z jego inicjatywy w Niemczech powstawały Komitety Przyjaciół Polski, dzięki którym



FOTO: MENING

Pruscy żołnierze prowadzą francuskich jeńców, obraz C. Röhlinga

korzystać podczas artyleryjskich szarż powstańczych pod Ostrołęką. Generał Rapp nie szczędził pochwał „wspaniałej artylerii konnej polskiej pod rozkazami kpt. Ostrowskiego”. Jej dowódca otrzymał wówczas Legię Honorową.

Twierdza Gdańska, atakowana przez przeważające siły wroga i nękana od strony morza przez angielskie okręty wojenne, musiała ulec. Klęska Napoleona pod Lipskiem, 19 października 1813 roku, przypieczętowała jej los. Stało się jasne, że obrońcy nie mają co czekać na odsiecz. Dwa tygodnie później ogromny pożar zniszczył 173 budynki na Wyspie Spichrzów i zgromadzone tam zapasy – należało podjąć jedyną rozsądną decyzję. 29 listopada 1813 roku podpisano akt kapitulacji. Z garnizo-

niebawem został zwolniony i wrócił do majątku ojca.

Bem jeszcze raz trafił na Pomorze. Stało się to po upadku powstania listopadowego. Był już wtedy generałem brygady, odznaczonym Złotym Krzyżem Orderu Virtuti Militari i otoczonym sławą wybitnego dowódcy. 5 października 1831 roku, wraz z komendantem armii polskiej generałem Maciejem Rybińskim, i na jego polecenie, uciekając przed wojskami rosyjskimi przekroczył granicę neutralnych wobec konfliktu Prus. Dwudziestu tysiącom żołnierzy, których wtedy internowano, władze pruskie nakazały rozdzielić się: osobno osadzano korpus oficerski i osobno szeregowych żołnierzy. Bem, wraz ze sztabem swojej dywizji, znalazł się w Elblągu,

zbierał potrzebne fundusze i organizował przerzut tysięcy byłych żołnierzy do zaprzyjaźnionej Francji. Wierzył, że uda się tam utworzyć polskie wojsko. Wiara, że będzie mógł czynnie walczyć o wolność Rzeczypospolitej nie opuszczała go aż do 10 grudnia 1850 roku, do dnia samotnej śmierci w dalekiej Syrii. ■

Wykorzystano:

Kovács István, „Józef Bem, bohater wiecznych nadziei”, Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa 2002;

Ostrowski A., „Żywot Tomasza Ostrowskiego”, t. II, Paryż 1840;

Bielski M., Rezmer W., „Bitwy na Pomorzu 1109-1945”, „Marpress”, Gdańsk 1993;

Askenazy S., „Gdańsk a Polska”, Warszawa 1923.

Ze wspomnień i lektur **Wojenny Hel**

Tekst: Lucjan Kurgan*

W listopadowe popołudnie na jednym z kanałów telewizyjnych trafiał na angielski film dokumentalny poświęcony zatopieniu statku „Wilhelm Gustloff”. Jak wiemy, katastrofa ta miała miejsce około 20 mil na północ od latarni Stilo, która znajduje się między Białogórą i Lebą. Jednostki biorące udział w akcji ratowniczej podniosły z morza około dziewięciuset osób. Kilka tysięcy poniosło śmierć. Na statku zaokrętowano świeżo wyszkolony personel floty podwodnej (około 3700 osób), młode kobiety z tzw. formacji pomocniczej służby kobiet (około 400), kilkuset żołnierzy Wehrmachtu (w tym także rannych), a ponadto wielu dygnitarzy partyjnych z rodzinami, którym udało się uzyskać zgodę na ewakuację. Liczbę uchodźców cywilnych, w tym wiele kobiet i dzieci, szacowano na około dwa tysiące osób.

Po wojnie przez długie lata w różnych publikacjach przyjmowano, że „Gustloff” przewoził 6 do 8 tysięcy osób. Wspomniany film zainteresował mnie głównie z tego powodu, że przed kamerami dyskutowali brytyjscy historycy i naukowcy wielu dziedzin. Bogatsi o możliwości, jakie daje technika komputerowej symulacji i wizualizacji, przekonywali, że katastrofa „Wilhelma Gustloffa” jest największą i najtragiczniejszą w dziejach żeglugi, że trzy torpedy wystrzelone z „S-13” pozbawiły życia około 10,5 tysiąca osób.

Tragiczna historia „Gustloffa” jest mi bliska. Mieszkalem przez całą wojnę na Helu, znałem – co najmniej z widzenia lub opowiadania – kilka osób, które wówczas zginęły. Pamiętam atmosferę tamtych dni. Liczne zdjęcia zatopionego statku, wydźwięk prasy hitlerowskiej, oskarżającej flotę bałtycką o zbrodnicze działania na morzu. Żalobę narodową, wywiady z uratowanymi, zdjęcia. Opisy tragicznych losów rannych kobiet i dzieci.

Takie były realia. A potem mijały lata i znajdowałem kolejne rocznicowe artykuły. Dowódcą okrętu podwodnego „S-13”, komandor Marinesko, przez jednych był atakowany, przez innych broniony. Niektórzy autorzy jakby zapominali, kto pierwszy zaniechał przestrzegania konwencji i rozpoczął nieograniczoną wojnę podwodną, a także planował wznowienie wojny U-Bootów na Atlantyku.

Od tamtych wydarzeń minęło ponad sześćdziesiąt lat. Wtedy, kiedy miały one miejsce, byłem dziewięcioletnim chłopcem, którego ciekawość była odpowiednia do wieku. Sporo pamiętam, a lektura wybranych książek (między innymi „Bałtyk w ogniu” Edmunda Kosiarza) ułatwia przywoływanie obrazów z dni i miesięcy końca wojny.

Rejs „Gustloffa” miał być tajny, oczywi-

ście ze względu na bezpieczeństwo. Ale nie dało się tego utrzymać w tajemnicy. Hel opuszczało wtedy kilka znanych z widzenia rodzin wysokich oficerów Kriegsmarine i administracji partyjnej. My – mała grupka polskich dziewięcio- czy dwunastoletnich „zwiadowców” – potwierdziliśmy fakt opuszczenia przez nich mieszkań. A potem przyszła ponura pewność, że oni już nie żyją.

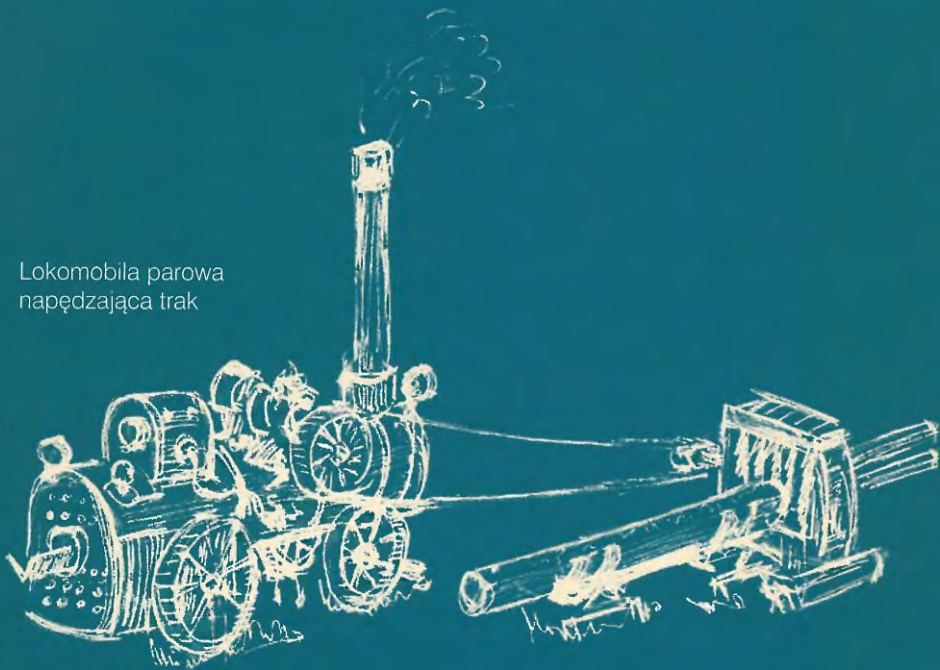
Zatonięcie „Gustloffa” splatało się z wyraźnie odczuwalną gorączką przedfrontową. Nagle pojawiły się duże grupy uciekinierów z całym ruchomym dobytkiem (wozy, powozy, krowy, konie). Wszyscy szukali miejsc zakwaterowania, których nie było, i marzyli o szybkiej ewakuacji morskiej, choć musieli sobie zdawać sprawę z zagrożenia. Z dnia na dzień zniknęła w Helu atmosfera cichego zapiecka, jaka panowała tu wcześniej. Do tej pory echa wojny pobrzmiwały gdzieś daleko na wschodzie i jeszcze dalej – na zachodzie Europy. W helskim porcie wojennym, gdzie znajdowała się baza szkoleniowa załóg dla nowych U-Bootów, trwały normalne zajęcia. Załogi codziennie odbywały intensywne szkolenia fizyczne na ławkach w rejonie kościoła katolickiego. Toczyło się normalne, spokojne życie portowe. Pracowały warsztaty, kasyna, stolówki, służba zdrowia, kino i wielka pralnia. Po nabrzeżach przemieszczały się wagoniki z zaopatrzeniem i uzbrojeniem.

Nieznane były naloty i bombardowania. Na Hel nie spadła żadna aliancka bomba. Wprawdzie angielskie bombowce (zwykle kilkadziesiąt maszyn) przelatywały nad Helem na dużej wysokości, ale kierowały się na cele wyznaczone w portach Gdyni i Gdańska. Tam były największe pochylnie i doki, tam cumowały największe okręty Kriegsmarine. Efekty tych bombardowań, zarówno dziennych jak i nocnych, widzieliśmy i słyszeliśmy po kilku minutach. Wybuchy, słupy dymu i kanonada niemieckiej artylerii przeciwlotniczej. I to było wszystko. Ale nie dotyczyło bezpośrednio bazy Kriegsmarine na Helu. Zdarzało się, że niemiecka obrona przeciwlotnicza otwierała ogień do wracających nad półwyspem bombowców. Czyniła to jednak tylko nocą. W dzień obawiano się widocznie nadmiernych strat. Alianckie bombowce oślepiano reflektorami przeciwlotniczymi i prowadzono zmasowany ogień. Jednak zestrzeleń nie widzieliśmy. Czasami jakaś maszyna oddalała się ciągnąc smugę dymu.

Pod koniec wojny wszystko gwałtownie się zmieniało. W porcie ubywało U-Bootów, które przechodziły do portów na zachodnim Bałtyku. Wzrosła aktywność lotnictwa radzieckiego. Samoloty zwiadowcze i szturmowe latały bezkarnie nad wierzchołkami sosen, penetrując ruch w porcie wojennym i rybackim. Rozeszły się pogłoski o zajęciu przez Rosjan Elbląga (23 stycznia)

Port rybacki w Helu, ok. 1940

Lokomobila parowa
napędzająca trak



i Tolkmicka (26 stycznia). Na Helu pojawiły się, wycofujące się przed Armią Czerwoną, jednostki Wehrmachtu i dalsze tłumy uciekinierów. W helskich portach wyladowywano duże ilości zaopatrzenia (produkty żywnościowe, broń, amunicja, paliwo), a rozładowane jednostki zabierały na pokład oddziały wojska, ludność cywilną i rannych. Z portu wychodziły przeważnie nocą. Wszystko odbywało się w atmosferze pośpiechu i lęku przed lotnictwem radzieckim.

Edmund Kosiarz w kilku rozdziałach swojej książki opisuje działania bojowe na Bałtyku od stycznia 1945 do końca wojny. Po rozpoczęciu radzieckiej ofensywy styczniowej siły niemieckie na Pomorzu i w Prusach Wschodnich (około 1,5 miliona żołnierzy) znalazły się w gigantycznym kotle. Armia Czerwona ruszyła w kierunku Odry i zaczynała zagrażać Berlinowi. Nie doszło do przewidywanej przez strategów niemieckich uporczywej obrony południowego brzegu Bałtyku. Dla Związku Radzieckiego ważniejsze było zdobycie Berlina, by zdążyć przed zachodnimi aliantami. Strategicznym zadaniem dowództwa niemieckiego stało się więc ewakuowanie sił zbrojnych z rejonu wschodniego i południowego Bałtyku do portów zachodnich, by w pierwszym rzędzie bronić stolicy Rzeszy oraz wewnętrznego obszaru Niemiec. Aby to zrealizować ściągano z Morza Północnego i Norwegii znaczne siły morskie, głównie przez porty Kłajpedy, Pilawy (Baltijska), Elbląga, Gdyni, Gdańska, Świnoujścia i Szczecina. Działania te rozwinęto na wielką skalę. W osłonie jednostek Kriegsmarine na zachód nieprzerwanie szły konwoje.

O ostatnich tygodniach wojny na Bałtyku Edmund Kosiarz pisze w kolejnych rozdziałach. I tu podaje informację, że na Helu

i w Pilawie Niemcy wybudowali tymczasowe lotniska, na których utrzymywali samoloty bojowe do walki z lotnictwem radzieckim. Wedle tego zapisu liczba samolotów ścigniętych z Gdańska i Rumi na helskie lotnisko wynosiła około setki myśliwców. Jestem przekonany, że te dane nie są prawdziwe, a autor chyba zbyt zaufał (sądząc po załączonej bibliografii) radzieckim źródłom. (Błąd ten powtórzył Tadeusz Piątkowski w informatorze turystycznym „Półwysep Helski” – KAW Gdańsk 1988).

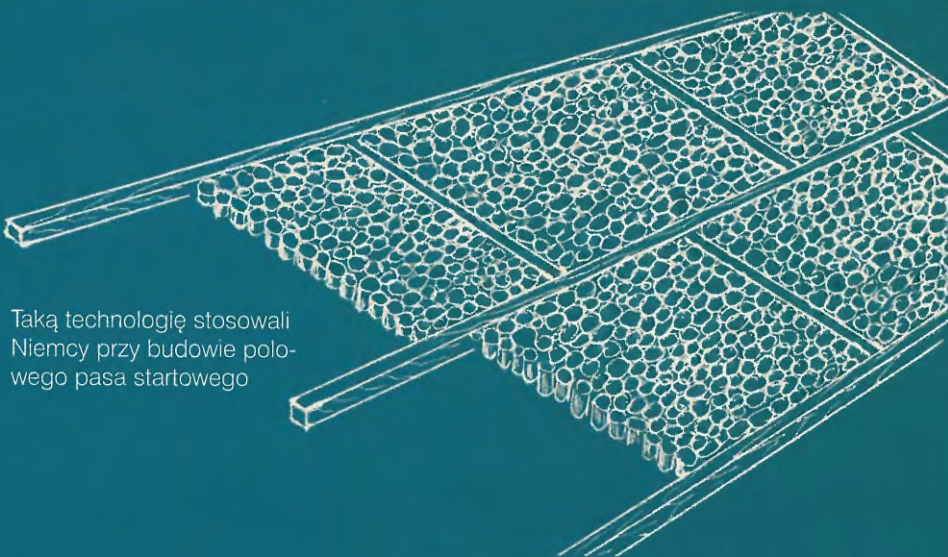
Byłem na Helu przez całą wojnę aż do kapitulacji, kiedy to 9 maja 1945 roku na wieży kościoła katolickiego pojawiła się biała flaga. To prawda, że Niemcy podjęli decyzję o budowie lotniska polowego, ale była to decyzja spóźniona i lotniska nigdy nie ukończono. A przebieg budowy był – ja to pamiętam – następujący:

W połowie lutego lub na początku marca 1945 roku (nie było już śniegu) poranną ciszą przerwały trzy potężne wybuchy w rejonie helskich łąk. Pognaliśmy w tym kierun-

ku. W powietrzu unosiły się już tylko nikłe chmury pyłu, a z pola widzenia zniknęły: jedna piętrowa willa z czerwonej cegły i dwa nieduże domy z białej cegły. Budynki zostały wysadzone w powietrze, a przy gruzowisku pracowała liczna grupa jeńców radzieckich. Ładowali gruz na furmanki i wywozili do pobliskiego lasu, tworząc przyzmę w rejonie dzisiejszej hodowli norek (około dwustu metrów od Domu Rybaka). Teren błyskawicznie wyrównano. Wysadzone domy były jedynymi obiektami, które stanowiły przeszkodę w położeniu pasa startowego. Jak się później okazało miał on przebiegać wzdłuż helskich łąk, od ulicy Bałtyckiej w kierunku dzisiejszego Klubu Garnizonowego. Dzisiaj trudno sobie to wyobrazić, ale wówczas nie było ulicy Żeromskiego ani Steyera. Nie było też Klubu Garnizonowego, kino-teatru „Wicher” i Domu Rybaka. Nie było także zabudowy mieszkalnej przy ulicach: Bałtyckiej i Leśnej. Jedynym stałym obiektem był kościół katolicki.

Na skraju lasu, w niewielkiej odległości od kościoła (dzisiaj znajduje się tu Ośrodek Wczasów Wojskowych), pojawiła się niespodziewanie dziwna maszyna z cienkim wysokim, rurowym kominem, z którego niebawem zaczęły unosić się kłęby jasnego dymu. Wiedzieliśmy z własnego doświadczenia, że taki dym daje spalanie mokrego drewna. Dziwne i nieznane urządzenie przypominało kopcejący holownik, wyjęty z morza i posadowiony na helskich łąkach. Maszyna miała jednak duże metalowe koła jezdne, a na każdym boku koła napędowe, które służyły do napędzania innych urządzeń za pomocą pasów transmisyjnych. Później okazało się, że tymi urządzeniami będą piły do drewna.

Był to więc „lokomobil” – kocioł i maszyna parowa na prostym podwoziu do przemieszczania po niewielkim obszarze, który służył do napędu prostego traka polowego. Wokół tego tartaku zaczęły rosnać stopy pni sosnowych, które dostarczali radziecy jeńcy z pobliskiego lasu. Z maszyn wypadały belki-kan-



Taką technologię stosowali
Niemcy przy budowie polo-
wego pasa startowego

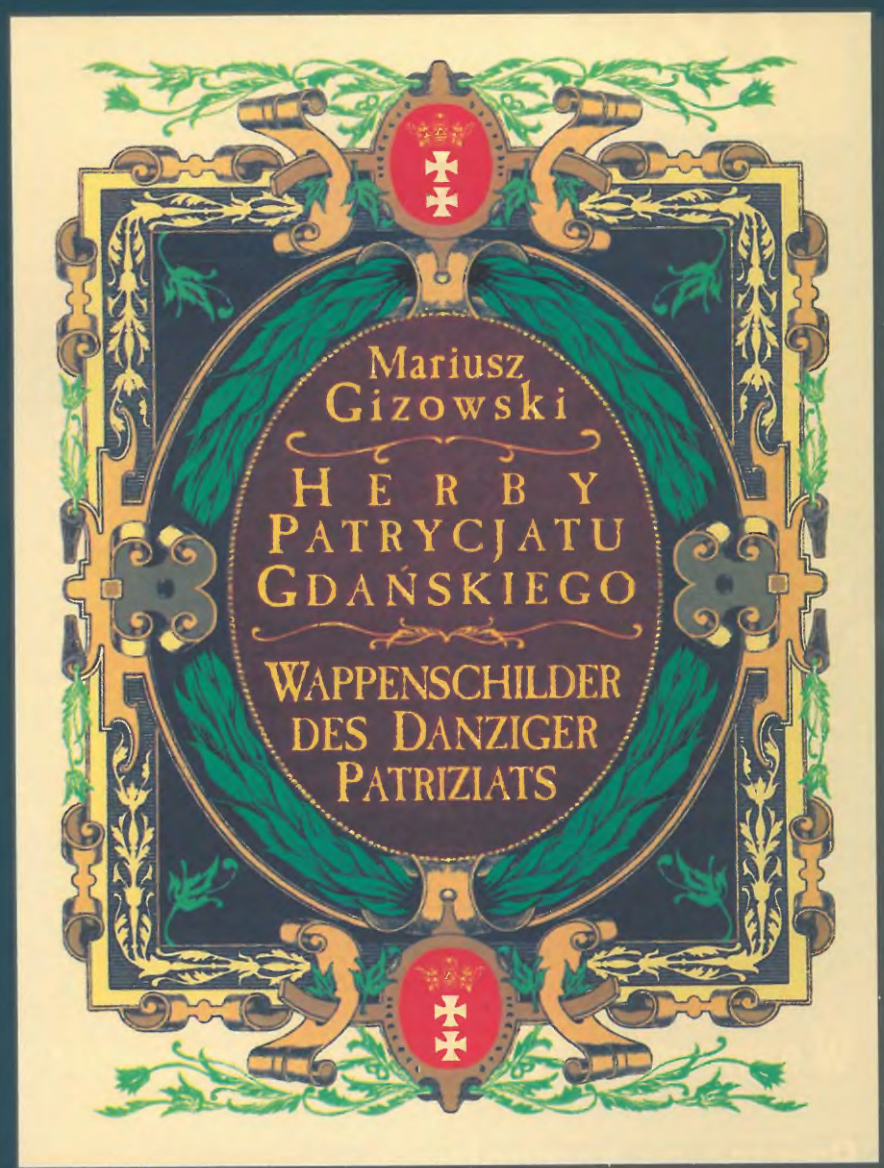
tówki (około 3-metrowej długości) i krótkie słupki (około 25 centymetrów). Ten budulec transportowano furmankami w rejon położony pomiędzy ulicami Leśną i Bałtycką. Jakaś grupa pomiarowa coś mierzyła, wbijała słupki, zmieniała, poprawiała. Zaczęto usuwać darń i układać w kwadraty pierwsze kantówki, które ciasno wypełniano słupkami stawianymi pionowo. Tak ułożony budulec uszczelniano piaskiem i polewano wodą. Stało się jasne, że Niemcy budują lotnisko.

W pierwszych dniach postęp prac był znaczny. Później zaczęły się przestoje. Wykonawców, przeważnie jeńców, przerzucano do innych, koniecznych prac. Widzieliśmy ich przy rozładunkach w porcie rybackim i przy budowie pomostów ewakuacyjnych. Potem znowu ruszyło lotnisko, ale z przerwami. Wydłużała się szachownica z belek wypełniona jasnymi belkami sośniny. Zarysował się wyraźnie pierwszy, około pięćdziesięciometrowy, odcinek pasa startowego. Ale sytuacja bojowa na wybrzeżu gdańskim stawała się coraz bardziej niekorzystna dla Niemców. Armia Czerwona zdobyła Gdynię i Gdańsk, Hel zakorkowany był jednostkami Wehrmachtu i uciekającą ludnością cywilną. Mówiło się, że pod każdą sosną wygrzebany jest dołek, w którym ludzie szukają schronienia. W tej sytuacji każdy pocisk był celny, a każda seria z samolotu – śmiertelna. Żniwo śmierci było ogromne. Masowe groby powstawały między wydrami za cmentarzem. Morze oddawało trupy z zatopionych przez Rosjan statków i okrętów.

Budowa pasa startowego postępowała coraz wolniej, aż pod koniec kwietnia całkowicie ustała. Rosjanie byli na przedpolach Berlina. W powietrzu niepodzielnie panowało radzieckie lotnictwo. Obrona przeciwlotnicza nie podejmowała działań, świadoma skutków uderzeń odwetowych. Ostatecznie, dziwny, drewniany pas startowy o szerokości kilku metrów, osiągnął długość około 120 metrów i doprowadzony został w rejon dzisiejszego Domu Rybaka. Nie miał zatem wystarczającej długości. I nigdy nie widzieliśmy na Helu żadnych myśliwców czy innych latających maszyn bojowych ze znakami czarnych krzyży. Sto myśliwców, o których mowa w cytowanych źródłach, nie mogłoby ująć uwadze naszej kilkusobowej „grupy oporu”. Warto sobie uświadomić, że taka liczba samolotów wymagałaby chociaż minimalnego zabezpieczenia materiałowo-technicznego i kwatermistrzowskiego dla samolotów i załóg. W dniu kapitulacji i bezpośrednio po nim niczego takiego nie zauważono. Niczego, co mogłoby świadczyć o aktywnym działaniu hitlerowskiego lotnictwa z lotniska polowego w Helu.

Na koniec jeszcze mała dygresja. 9 maja 1945 roku, kiedy kapitulacja Niemiec stała ▶

NAJBOGATSZY HERBARZ GDAŃSZCZAN



TWARDA OPRAWA,
NUMEROWANE EGZEMPLARZE,
736 STRON,
ZAWIERA 341 HERBÓW



Na współczesnym planie Helu pokazano, gdzie budowany był pas. Mała opona z niemieckiego samolotu została zachowana na pamiątkę



się faktem, około godziny czternastej, drogą od portu wojennego wtoczyły się pierwsze ZIS-5, popularne, lekkie ciężarówki radzieckich wojsk lądowych. Samochodami przyjechali bardzo młodzi żołnierze o azjatyckich rysach (pewnie poborowi z Kazachstanu lub sąsiednich republik). I stała się rzecz dziwna. Na małej polanie leśnej, obok niedokończonego pasa startowego, tuż obok willi „Bronka”, stały trzy małe samoloty ze znakami Luftwaffe.

Nie potrafię ich dzisiaj dokładnie scharakteryzować. Z pewnością jednak nie były to samoloty bojowe. Zapamiętałem, że były to małe jednomotowe i jednomiejscowe samoloty łącznikowe bez uzbrojenia. Budziły nasze szczególne zainteresowanie, ponieważ były czymś zupełnie nieznanym. Na wojennym niebie widzieliśmy dziesiątki maszyn bojo-

wych, ale nigdy takich i to zupełnie z bliska. Przez kilka pierwszych dni Rosjanie trzymali przy nich posterunek i nasze marzenia, by je dokładnie obejrzeć, nie mogły się spełnić. Potem nagle posterunek został zdjęty, ale przed odejściem wartownicy zniszczyli bagnetami poszycie skrzydeł i kadłuba. Okazało się, że było wykonane z płótna.

Nareszcie mogliśmy „polatać”: siedzieć w kabinie, czytać przyrządy pomiarowe, manewrować wolantem. Nie trwało to jednak długo, gdyż samolociki zaczęły się „rozchodzić”. W kilka dni leśna polana opustoszała niemal doszczętnie. Części samolotu, przyrządy, wyposażenie stały się przedmiotem handlu wymiennego. Pamiętam, że ma-

rzyłem o śmigle, jednak było poza moimi możliwościami. Przez jakiś czas krążyło między starszymi chłopcami i w końcu wyjechało gdzieś z Helu.

Coś jednak udało mi się zdobyć. Najpierw jedno koło ogonowe, a potem drugie, za które oddałem zdobyczną raketnicę. Koła te posłużyły potem do zbudowania małego jednoosiowego wózka z dyszelkiem, który przez wiele lat służył jako taksówka bagażowa. Przeważnie używany był do przewożenia z dworca lub przystani różnych ładunków. Zdarzało się, że pasażerem była kózka, prosiak czy owca. Z czasem wózek niestety się rozleciał, a ja na pamiątkę zachowałem jedną oponę z napisem „Dunlop”. Jest w moim domu już ponad trzydzieści lat i przypomina o niemieckich samolotach.

Równie błyskawicznie jak samoloty „rozzebrano” też lotnisko. Pas startowy z belek i sosnowych klocków stał się nieocenionym magazynem opału. Łysa, piaskowa polana, jaka ukazała się po wybraniu drewna, szybko pokryła się trawą i po lotnisku wkrótce nie było śladu. Miejsce to znowu stało się łąką do wypasu domowych zwierząt.

Kiedy patrzę na moje koło z ogona samolotu, często zastanawiam się, jakie były plany dowództwa niemieckiego na Helu w ostatnim okresie przed kapitulacją? Do jakich celów przewidziano te trzy lekkie, nieuzbrojone samolociki? Co wykluzyło ich ewentualne wykorzystanie? Pozostaje przekonanie, że być może miały w ostatniej chwili kogoś lub coś wywieźć z Helu. Dotychczas nie natrafiłem na żaden ślad dotyczący tego wojennego epizodu. Być może ktoś z czytających wie coś na ten temat? ■

*Lucjan Kurgan – komandor w stanie spoczynku, mgr inż., absolwent WSMW 1961, odszedł na emeryturę za stanowiska szefa Ratownictwa Morskiego Sztabu Marynarki Wojennej.

W najnowszym 73/74 numerze „Przeglądu Politycznego”

Pamięć po komunizmie

piszą Marek Beylin, Tomasz Wotek

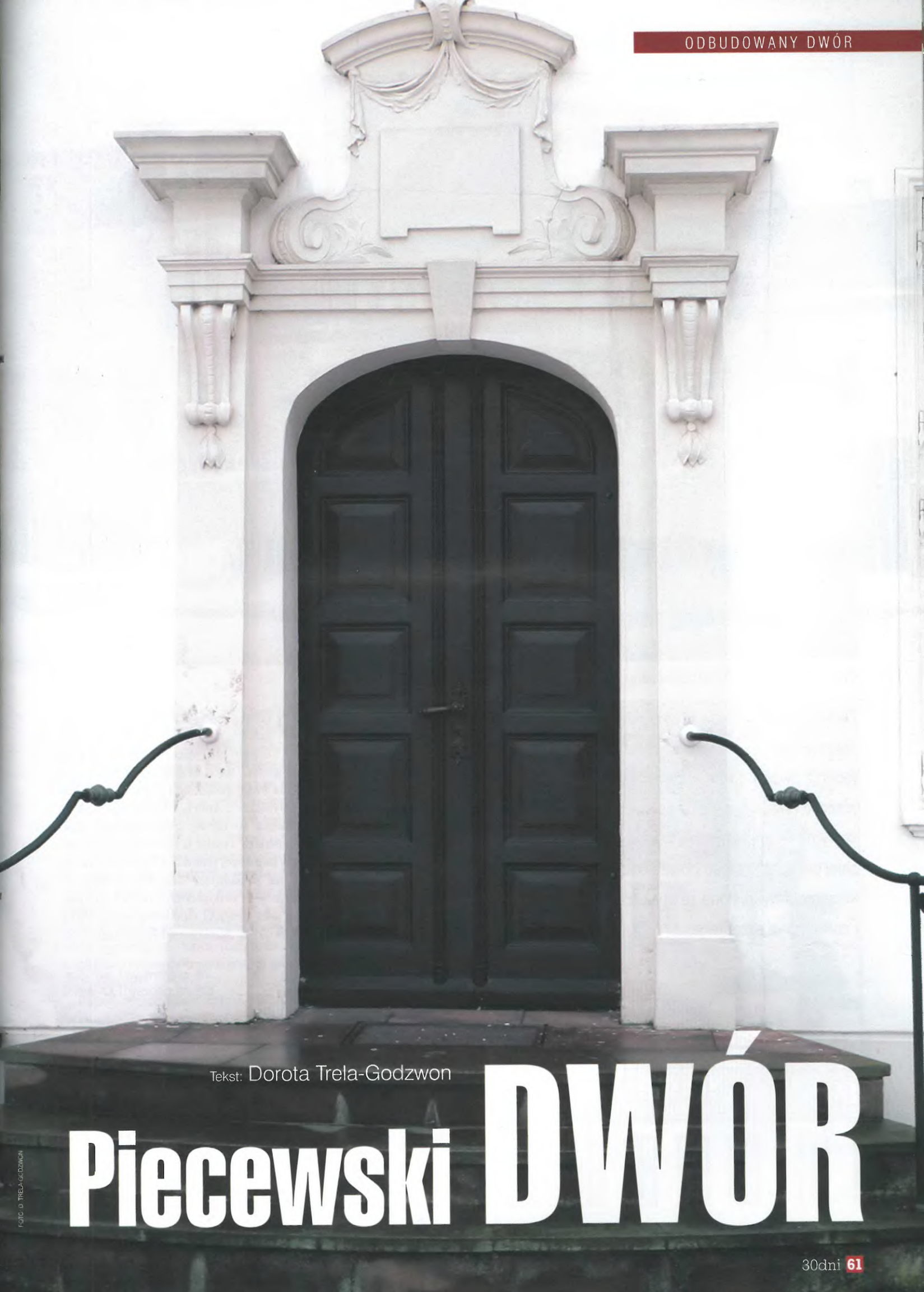
Gombrowiczologia jubileuszowa

Piotr Graczyk „O ogonie co macha psem”

Duch i instytucja

Rozmowa z Gayem Sormanem





Tekst: Dorota Trela-Godzwon

Piecewski DWÓR



Dwór przy ulicy Piecewskiej został odbudowany

Na tle szarych bloków Moreny dwór przy ulicy Piecewskiej wyróżnia się pięknem barokowo-klasycystycznej formy. Jest to, niestety, tylko jeden z dwóch dworów, które znajdowały się w gdańskich Pieckach jeszcze w latach sześćdziesiątych XX wieku. Dzięki nakładowi finansowemu i zaangażowaniu obecnych właścicieli, dwór przy Piecewskiej nie podzielił losu posiadłości przy Myśliwskiej, która w 2000 roku została wykreślona ze spisu zabytków województwa gdańskiego i ostatecznie rozebrana.

Początki historii Piecek, które dziś za sprawą spółdzielni mieszkaniowej często nazywamy Moreną, sięgają XIII wieku. Osada należała do pomorskiego księcia Świętopelka, który w 1238 roku (jako „Byssekiv”, Andrzej Januszajtis podaje, że można tę nazwę zrekonstruować jako „Biesiekierz”) nadał ją oliwskim cystersom. Już w pierwszej połowie XIV wieku, podobnie jak sąsiadujące Migowo, przejęli ją Krzyżacy. Prawdopodobnie pod ich panowaniem wieś przyjęła niemiecką nazwę Pietzkendorf, dziś tłumaczoną błędnie jako Piec-

Tak prezentował się jeszcze na początku XX wieku

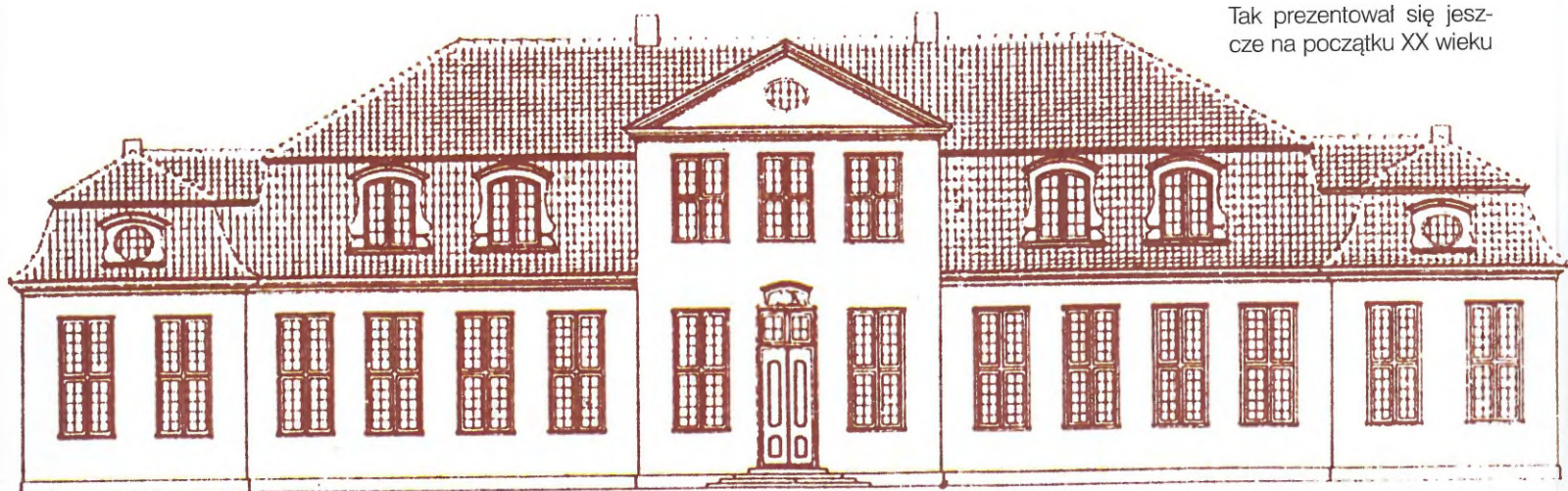




FOTO: D. TIEŁA-GODZIMON



FOTO: BIURO WOJEWÓDZKIEGO KONSERWATORA ZABYTKÓW

ki („piec” po niemiecku to „der Ofen”). Kiedy w 1454 roku kończyło się władania Krzyżaków nad miastem, wieś stała się własnością gdańskiego szpitala św. Elżbiety. Przypuszczalnie już wtedy musiał istnieć majątek, którego dobra, w postaci inwentarza i płodów rolnych, zasilały kasę zakonników.

Burzliwe losy wieś przeżyła podczas wojny Stefana Batorego z gdańszczanami w roku 1577. Źródła historyczne mówią, że posiadłość wtedy spłonęła. Olbrzymie straty, jakie Gdańsk poniósł w tej wojnie, a zapewne także bieżące potrzeby szpitala św. Elżbiety sprawiły, że dobra piecewskie były stopniowo wyprzedawane bogatym gdańskim patrycjuszom.

Bogaci mieszczaństwo doceniali walory krajobrazowe Piecek. Pięknie położona wieś, z jednej strony otoczona lasem, a z drugiej łąkami, stała się ulubionym miejscem letniego wypoczynku. Chętnie zaglądali też do znajdującej się tu karczmy. Na początku XVII wieku wieś z rozległymi łąkami kupił Andrzej Köhne-Jaski (od jego nazwiska mamy dzisiejszą Jaśkową Dolinę) i prawdopodobnie dał podwaliny pod pierwszą rezydencję. W źródłach nie znajdujemy informacji, czy znajdowała się ona w tym samym miejscu, co dzisiejszy dwór. W każdym razie

W latach sześćdziesiątych XX wieku piecewski dwór, podobnie jak wiele zabytków, popadł w ruinę



FOTO: BIURO WOJEWÓDZKIEGO KONSERWATORA ZABYTKÓW

to, co zbudował Köhne-Jaski, nie przetrwało pożogi szwedzkiej w pierwszej połowie XVII wieku, kiedy wieś spłonęła.

Lata świetności majątku przypadają na przełom XVII i XVIII wieku, kiedy znalazł się w posiadaniu znanej rodziny Uph-

agena. Teren nie zagospodarowano. Posiadłość była dużo większa od obecnej, liczyła – wraz z ogrodem – 15 hektarów. Z tamtego czasu zachował się do dziś rokokowy portal, kręta klatka schodowa i część wystroju wnętrza w tym samym rokokowym stylu. Ostatnią z rodu właścicielką majątku przy Piec-

ewnie architektoniczny. Część dobudówek powstała być może później.

Po II wojnie światowej zniszczony dwór pozostawał w rękach prywatnych. W latach 1948-1977 jego właścicielem był Bronisław Malinowski. Już w szóstej dekadzie XX wieku obiekt popadł w ruinę. Zachodnie skrzydło rozebrano, a wschodnie oszpecono spadzistym dachem i przybudówką. W stosunkowo najlepszym stanie był główny korpus budynku i jego część południowa, jednak w niczym nie przypominała to Uphagenowskiego dworu z XVIII wieku. Sytuacja nie uległa poprawie, kiedy w 1977 roku właścicielem nieruchomości został Skarb Państwa.

W latach 1978-1982 dwór przekazano w użytkowanie Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej, ale nie miała ona pieniędzy na odbudowę zniszczonego obiektu. Dopiero na początku lat osiemdziesiątych architekt Kazimierz Jarosz wykonał dokumentację techniczną, plan zagospodarowania działki oraz koncepcję rewaloryzacji zabytku. Starał się przejąć posiadłość i przeznaczyć ją na cele mieszkaniowo-usługowe. Z dokumentacji, którą posiada Wojewódzki Konserwator Zabytków, wynika, że architekt kilkakrotnie składał w tej sprawie pisma do Wydziału Gospodarki Przestrzennej i Ochrony Zabytków Urzędu Miejskiego. Udało mu się nawet uzyskać pozytywną opinię Ministra Kultury, ale nie uzyskał zgody na wykup nieruchomości. „Śluszne jest stwierdzenie zawarte w decyzji Prezydenta Miasta Gdańska, że przekazanie odbudowy dworu o znacznej kubaturze i przyległego parku osobie fizycznej na cele mieszkaniowo-usługowe jest sprzeczne z ustaleniami planu szczegółowego zagospodarowania przestrzennego dzielnicy” – czytamy w piśmie Urzędu Wojewódzkiego z 1983 roku.

Dworek niszczał nadal bez okien, drzwi, podłóg, z zawalonym stropem głównym, z popękanymi ścianami. Niebezpiecznie odchylał się od pionu i groził zawaleniem. Jego korpus główny wymagał generalnych prac konserwatorskich, zaś skrzydła boczne odbudowy od podstaw. W takim stanie rzeczy przekazano go w 1984 roku Ośrodkowi Analiz Wartości Inżynierskiej Spółdzielni Pracy, z przeznaczeniem na cele biurowo-projektowe. Rozpoczęły się niezbędne prace nad zabezpieczeniem walącej się ruiny.

Dopiero w 1990 roku spółka „Dwór Uphagena” uzyskała akceptację Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, kupiła dwór, weszła w wieczyste użytkowanie ziemi i przystąpiła do rekonstrukcji budynku. Był on w katastrofalnym stanie, zeszpecony przez niefortunne remonty wykonane w latach siedemdziesiątych, kiedy dawny man-



W sieni zachowały się kręte schody prowadzące na piętro

genów. W dokumentach odnotowano, że w 1693 roku Jan Uphagen Starszy sprzedał dom w Pieckach synowi Henrykowi za 4 tysiące florenów, a ten rozbudował go i otworzył karczmę zwaną „Mittelkrug”.

W połowie XVIII wieku, prawdopodobnie w miejscu dawnej karczmy, powstała wypożyczynkowa rezydencja, charakterystyczna dla bogatego, gdańskiego mieszczaństwa. Jak wynika z zachowanych przekazów, dwór był utrzymany w stylu barokowym, posiadał dwie kondygnacje i był przykryty dachem mansardowym z lukarnami. Wokół staran-

skiej była Elżbieta Uphagen. W 1770 roku sprzedała go Martinowi Behnke.

Dwór zapisał się w historii wojen napoleońskich. W rezydencji miał swoją główną kwaterę marszałek Lefebvre, kiedy dowodził X Korpusem Armii Napoleona, która oblegała Gdańsk w 1807 roku. W XIX wieku Piecki zostały rozparcelowane. Pod koniec tego stulecia były tu cztery większe posiadłości i dziesięć wiejskich gospodarstw. Na przełomie XIX i XX wieku dwór został przebudowany. Od południa dostawiono dwie oficyny, które zaburzyły dotychczasowy układ

sardowy dach głównego korpusu zastąpiono dachem dwuspadowym.

„W chwili obecnej jest to niewątpliwie jeden z najstaranniej odrestaurowanych gdańskich dworów” – pisze Jerzy Samp w książce „Gdańskie dwory i pałace”. Korpus główny budynku jest wyższy, dwukondygnacyjny i przykryty – jak niegdyś – mansardowym dachem. W jego wschodniej części znajduje się piękny barokowy portal, a za nim trzy okna z charakterystycznymi dla epoki szprosami. Urok budowli podkreślają okna drugiej kondygnacji. Od części głównej odchodzą dwa niższe skrzydła boczne, również przykryte mansardowym dachem z lukarnami. Zachodnie skrzydło jest dłuższe od wschodniego.

Parter i użytkowe poddasze skrzydeł bocznych wykorzystano na pomieszczenia biurowe. Od południowej strony do dworu przylegają dwie nadbudówki: dwu- i jednokondygnacyjna. Obie przykryte są spadzistym, pulpitowym dachem i doskonale komponują się z całością bryły.

Z pietyzmem odnowiono też wnętrze dworu. W korpusie głównym znajduje się zabytkowa sień, z której kręte schody prowadzą na piętro. A na piętrze w niewielkim saloniku, wyposażonym w stylowe meble, zachował się rokokowy kominek. Uwagę zwraca też rokokowa oprawa arkad, a w głębi sieni dwie pary dwuskrzydłowych drzwi z tej samej epoki.

Na południe od dworu zaprojektowano ogród, który oparto na angielskich założeniach. Starannie przycięte krzewy układają się w regularne formy. Dawny staw, który znajdował się od frontu posiadłości, zastąpiono stylową fontanną. W jej pobliżu znajduje się budynek dawnego pawilonu ogrodowego z pięknie zachowanymi oknami.

Przykład piecewskiego dworu pokazuje, że zabytek oddany w ręce prywatnych, ale odpowiedzialnych gospodarzy, może powrócić do dawnej świetności i stać się ozdobą osiedla. Może szkoda, że mieszkańcy Moreny mogą go oglądać tylko zza płotu. ■

Wykorzystano:

Gawlicki M., „Podmiejskie dwory mieszczańskie gdańskie od XVI do XVIII wieku”, [w:] „Mieszczaństwo gdańskie”, pod red. S. Salmonowicza, Gdańsk 1997;

„Historia Gdańska”, pod red. E. Cieślaka, Gdańsk 1993;

„Katalog parków Województwa Gdańskiego. Piecki – Park przy zespole dworskim”, opracowanie mgr inż. B. Lipińska i mgr inż. T. Iżewska;

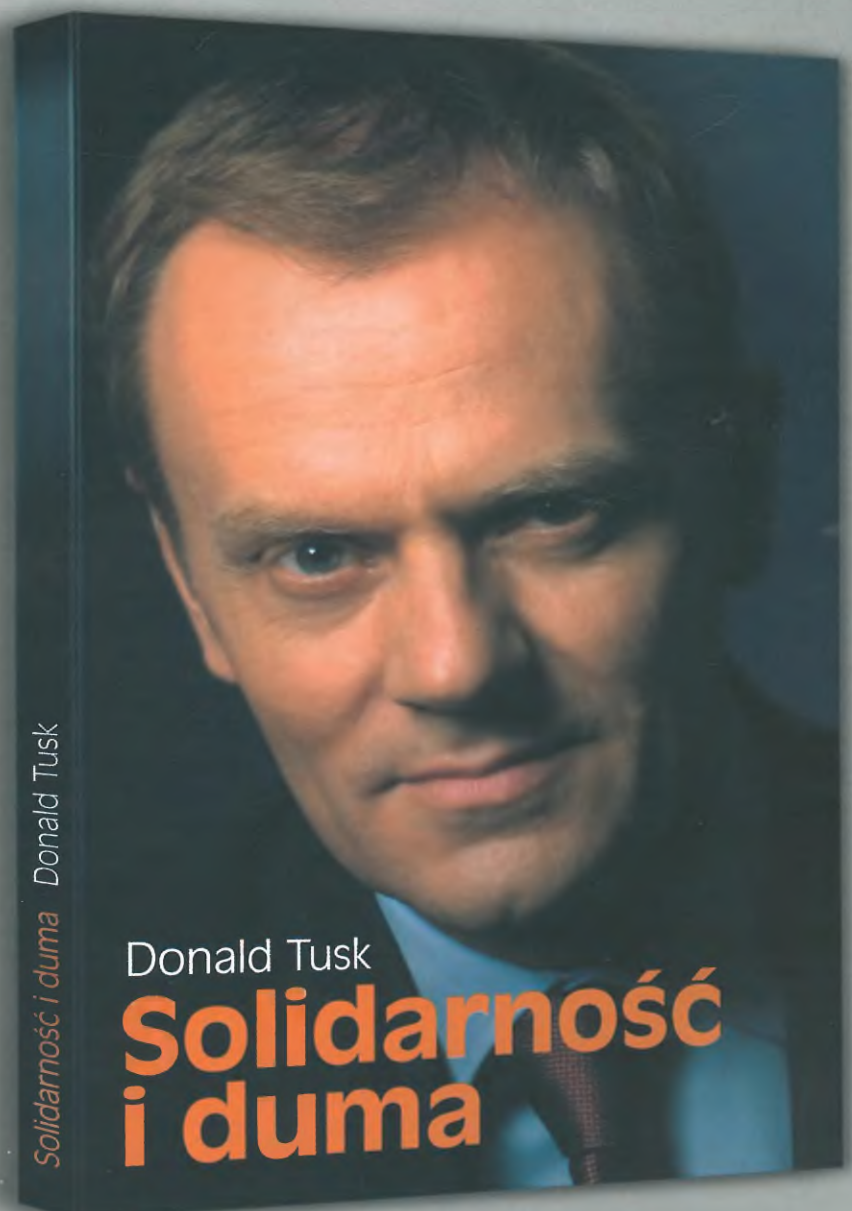
„Ostdeutsche Monatshefte für Kunst und Beistesleben”, Danzig, Heft 2;

Samp J., „Gdańskie dwory i pałace”, Gdańsk 1998.

Nie ma żadnej poważnej przyczyny, dla której Polacy nie mogliby wyzyskać w pełni historycznej szansy, jaką daje nam XXI wiek!

Żadnej przyczyny, która jest poza nami, narzucona złymi wyrokami losu.

Donald Tusk



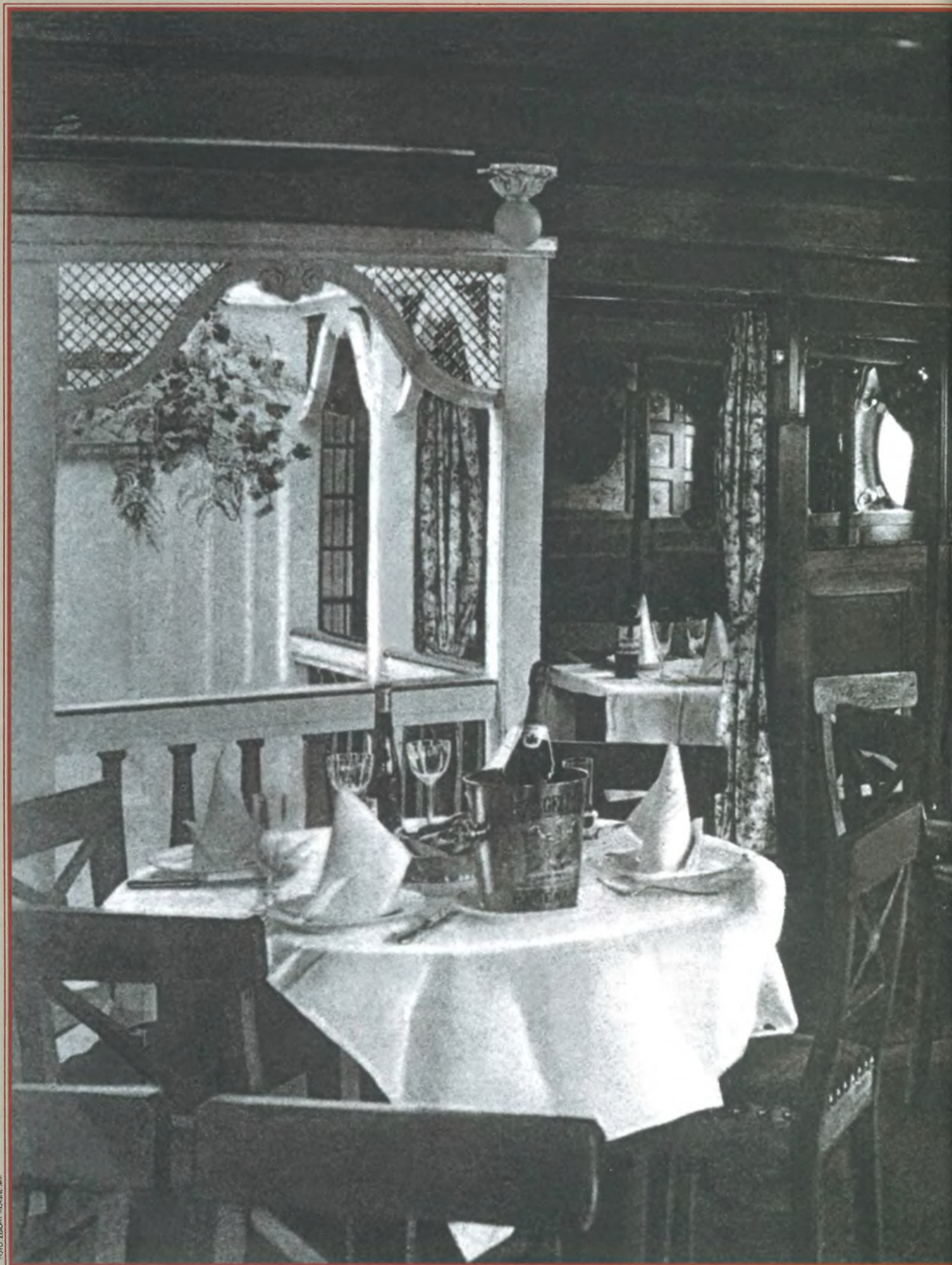


FOTO: ZBORY MASNE MM



Salon na pokładzie pasażerskiego parowca „Hela”, ok. 1910

30 dni

LISTY

Gdzie kładziono bruk?

Szanowny Panie Redaktorze, Wpierw pragnę życzyć szczęśliwego Nowego Roku i kolejnych wydań „30 Dni”. Mając na uwadze okres świąteczny, zaistniała okazja prze-

mając na uwadze ówczesną drogę dwukierunkową – w kierunku na Gdynię. Zatem zdjęcie na stronie 23 pokazuje puste pola stoku redłowskiego. Budowa tego odcinka musiała być zakończona w początkowych miesiącach 1938 roku.

A tak dla ciekawości. Przy skrzyżowaniu obecnej Wielkopolskiej z aleją znajduje się mostek na rzece Kacza. Uwzględniając sytuację polityczną tamtego okresu, wybudowano w 1939 roku tzw. zaporę przeciwczołgową składającą się z szyn. Podobna zapora znajdowała się w Kolibkach naprzeciw kościoła, a ostatni przystanek autobusowy w kierunku do Sopotu miał miejsce przy poczcie w Orłowie.

Przytoczono w artykule, iż w latach 1928/39 wybrukowano wiele ulic w Gdyni, w tym także na Kamiennej Górze. Mimo

bruku a obecnie asfaltu – patrz Kochanowskiego czy Kasprowicz (górny odcinek).

Łączę wyrazy szacunku
Tomasz Darski
Gdynianin od 1929 roku

Od autora:

Szanowny Panie,

22 lutego 2006 roku przespa-
cerowałem się kilka razy dawną Szosą Gdańską (obecnie aleja Zwycięstwa) między „Klifem” i ulicą Stryjską w Redłowie i nie udało mi się znaleźć domku, który jest widoczny na zdjęciu na stronie 22. poprzedniego numeru „30 Dni”. Jestem więc nadal przekonany, że pokazany przez nas fragment Szosy Gdańskiej znajduje się w Kolibkach, nie zaś między Orłowem i Redłowem. Potwierdza to także rzeźba terenu, między innymi nachylenie jezdni (między Wielko-

przedwojennego gdynianina, syna Edwarda – brukarza), który wcześniej opisał „nasze” zdjęcia w artykule „Gdynscy brukarze” („Rocznik Gdyni” 14/1999). Pan Sikora pisze: „Zdjęcia nr 1, 2 i 3 (u nas te na stronach 22/23, 24 i 26/27 – TTG) dotyczą jednego tematu, a mianowicie budowy w rejonie Orłowa Kolibek drugiego pasma jezdni do granicy z Wolnym Miastem Gdańsk”. Przypuszczam, że autor tych słów zapewne nie jedną godzinę przegadał z ojcem o brukowaniu ulic w Gdyni, więc jakąś wiedzę na ten temat posiada. A stwierdza on, że na fotografii widzimy drugie pasmo jezdni do granicy z WM Gdańsk, a zatem domki widoczne za drzewami znajdowałyby się na wschód od szosy, gdzie – co widzimy na fotografii – pobocze jest nieco obniżone w stosunku do ulicy, a zabudowania są jakby zapadnięte. Tymczasem „w terenie” wschodnie pobocze Szosy Gdańskiej na odcinku między Stryjską i Wielkopolską mocno wynosi się ponad jezdnię.

Zapewne przystanek autobusu kursującego między Gdynią i Gdańskiem mógł znajdować się przy orłowskiej poczcie. Wierzę też jednak panu Gwieździe, który mi potwierdził, że w Kolibkach – około trzysta metrów na północ od kościoła – taki przystanek również postawiono.

Za sprawą Pańskiego listu odbyłem spacer dawną Szosą Gdańską, choć warunki nie były naj-



FOTO: ZBIGNIEW MICHAŁ SIKORA

Prace brukarskie na dawnej Szosie Gdańskiej. Wydaje się, że jest to ten fragment ulicy, który widzimy na współczesnym zdjęciu

czytania ostatniego numeru czasopisma. W artykule Pana T. Gluszk „Kamień przy kamieniu”, na stronach 22 i 23 (rozkładówka) oraz 24 pokazane są zdjęcia z budowy drugiej nitki alei Zwycięstwa (jak się ona nazywa obecnie). Opis z tej okazji nie jest aktualny, bowiem owe zdjęcia wykonano na odcinku Stryjska-Wielkopolska, a nie w Kolibkach. Na dowód czego na zdjęciu na stronie 22, pomiędzy drzewami, widoczny jest domek (nawiasem on stoi tam nadal), a opisany przystanek autobusowy skierowany jest –



FOTO: T. GLUSZKO

upływu sześćdziesięciu pięciu lat (sześćdziesiąt od zakończenia II wojny) znajdują się jeszcze ulice, dla których zabrakło

polską i Stryjską wiedzie ona bardzo wyraźnie pod górę).

Przekonuje mnie również relacja pana Michała Sikory (także

lepsze (roztopi i błoto wylatujące spod kół przejeżdżających samochodów). Dziękuję i pozdrawiam.

Tadeusz T. Gluszek

Jeszcze o „Brzeźnie”

Szanowna Redakcjo,

W ciekawej, promującej nasze wybrzeże książce pana Waldemara Nocnego pt. „Brzeźno”, o której notę zamieściliście swego czasu w Waszym poczytnym czasopiśmie („30 Dni” 3/2004), czytamy na stronie 13, że „władca pomorski Świętopełk darował cystersom oliwskim w 1235 r. jezioro Zaspą z łakami”. Autor książki nie przywołuje źródła tej informacji. Można jednak przypuszczać, w oparciu o datę i treść fragmentu, że jest nim jeden z dwóch dokumentów, noszących datę 9 sierpnia 1235 roku, które mówią o „potwierdzeniu” klasztorowi oliwskiemu jego posiadłości przez księcia gdańskiego Świętopełka II. Jeden z dokumentów wymienia wśród nich jezioro, stację i łaki, drugi – bliższy treści przytoczonego zdania – tylko jezioro i łaki. Przedruki tych aktów znajdują się w zbiorze odpisów pomorskich dokumentów z lat 1178-1315 Maxa Perlbacha „Pommerellisches Urkundenbuch” pod numerami 51 i 52.

Żadnego z nich nie można uznać za dowód „nadania” czy „darowizny”. Oba „potwierdzają” wcześniej nabyte przez klasztor prawo własności jeziora i łak. Wynikałoby z tego, że darowizna, o której pisze Autor, nastąpiła przed rokiem 1235, gdyby nie stwierdzenie wymienionego historyka, że dokumenty te są falsyfikatami. Niekwestionowany, autentyczny akt nadania jeziora nosi datę 2 lutego 1238 roku. Niby mała różnica, ale gwoździ prawdy historycznej należałoby rok 1235 zamienić na 1238. Tym bardziej, że nawet drobna nieścisłość może niekiedy rodzić dalsze, jak to widzimy na przykładzie nazwiska sołtysa i karczmarza Jelitkowa. W kopii dokumentu lokacyjnego z 1480 roku zapisane jest jako Sobereczky. Hirsch, historyk gdański, streszczając powyższy akt, podaje Szobeczko, a Autor (str. 15), opierając się zapewne na błędnym zapisie Hirscha, zniekształca je na Dzobeczko. Podobnej „przemianie” ulega nazwa wsi Jelitkowo:

Glottkaw w dokumencie lokacyjnym, Glottkov u Hirscha i Glottkow na stronie 15 książki.

Położenie Brzeźna nad brzegiem Zatoki Gdańskiej przesądzało o głównym zajęciu jego mieszkańców, którym było niewątpliwie rybołówstwo. Tak też widzi to Autor. Nie powinien jednak twierdzić, że w akcie darowizny (Jelitkowa), „wzmiankowana jest wieś rybacka Bresin” (str. 15). Dokument lokacyjny z 1480 roku, mylnie nazywany aktem „darowizny”, wymienia Brzeźno w opisie położenia łaki sołtysa, która znajdowała się „po prawej stronie drogi prowadzącej do Bresin” (Brzeźna), Zapis przemilcza określenie „rybacka”, mimo iż wieś taką na pewno była.

Wśród zbioru dokumentów Perlbacha nie ma dowodu stwierdzającego, że „w 1245 r. cystersi uzyskali zezwolenie na stworzenie tam (w Zaspie) stacji połowu śledzi” (str. 14). Dokumentem z 26 września 1245 roku papież Innocenty IV objął klasztor oliwski opieką św. Piotra, potwierdzając jednocześnie wszelkie posiadłości klasztoru, wśród których wymienia „jezioro zwane Zaspą, stację połowu śledzi położoną pod Oliwą nad brzegiem morza”. Nie ulega wątpliwości, że „zezwoenie na utworzenie (...) stacji”, o którym pisze Autor, klasztor musiał uzyskać przed papieskim potwierdzeniem jej posiadania. Teoretycznie nie wyklucza to 1245 roku, ale historyk Pomorza ks. Władysław Łęga przyjmuje rok 1238 za datę nadania klasztorowi oliwskiemu własnej stacji rybackiej.

Na zakończenie drobne uzupełnienie notki biograficznej księdza biskupa Zygmunta Pawłowicza (str. 160). Przed wojną ksiądz biskup uczęszczał nie tylko do szkoły powszechnej (jak nazywano wówczas szkołę podstawową) w Gdańsku, ale również do gimnazjum. W 1939 roku był uczniem kwarty (trzeciej klasy) Gimnazjum im. Józefa Piłsudskiego Macierzy Szkolnej w Gdańsku.

Z poważaniem

Mgr Paweł Fularczyk
Gdańsk

Keckermann



Bartłomiej Keckermann to postać znany z historii nauki w Gdańsku. Znana, choć przecież nie za bardzo popularna. W Gdańsku się urodził i w Gdańsku rozpoczął naukę, ale przez kilkanaście lat (a to dużo w jego krótkim życiu – 1572-1609) studiował na niemieckich uniwersytetach i tam prowadził wykłady. Do rodzinnego miasta wrócił w 1602 roku.

Jeśli potrafimy coś o nim powiedzieć, to najczęściej sprowadza się to do stwierdzenia, że zreformował program nauczania w Gimnazjum Akademickim, dostosowując je do standardów, które obowiązywały wtedy w europejskich uniwersytetach, a także to, że jest autorem „pierwszego w kraju samodzielnego traktatu poświęconego morzu i naturze”. Jego bogaty dorobek z zakresu filozofii i teologii (a dzieła te w dużej części powstały w Gdańsku) wydawał się raczej wtórny, kompilatorski i mało ciekawy dla współczesnych badaczy. A okoliczność, że swoją uwagę poświęcali mu gdańscy naukowcy, mógł to przekonanie jeszcze utwierdzać: studiowali go bardziej z tego powodu, że był gdańszczytaninem, niż z powodu naukowej wartości jego prac.

Dlatego wydana przez Polską Akademię Nauk książka Danilo Facca „Bartłomiej Keckermann i filozofia” jest zapewne zaskoczeniem. Sam fakt, że obcokrajowiec, jak sądzić można po nazwisku, pisze w Warszawie książkę o niemieckim – chyba jednak – filozofie, po którym zostały dzieła tworzone po łacinie – jest sporą niespodzianką. Ale jeszcze ciekawiej robi się, kiedy

sięgniemy do wstępu. Facca pisze: „Choć trudno mówić o jakimś spektakularnym »odkryciu« Keckermanna, w istocie w ostatnich dziesięcioleciach badacze z pewną regularnością powracali do dzieł tego autora. Odnosi się wrażenie, że ten powolny, ale nieprzerwany proces czerpania z Keckermannowej encyklopedii, często cząstkowy i chaotyczny, jeszcze nie dobiegł końca. Wydaje się wręcz, że wraz z poszerzaniem wiedzy na temat zjawisk intelektualnych początku ery nowożytnej, ranga Keckermanna – z jego jasnym stylem, naukowym przygotowaniem i rozległą kulturą – wzrośnie na tyle, że choć może nie stanie się on »klasykiem«, to na pewno znajdzie się w szeregu autorów, których głosu warto posłuchać”. Facca dodaje, że „mamy tu do czynienia z trwałą tendencją” i odwołuje się do autorów, którzy poświęcili gdańszczytaninowi „interesujące stronicę”.

Zapewne ta książka nie jest lekką lekturą na długie zimowe wieczory. Facca obszernie analizuje poglądy Keckermanna na filozofię. „Keckermann wierzył – czytamy – że w duszy człowieka ukryte są iskry Bożej mądrości, które jednak niechybnie zgasną, jeśli nie podtrzyma ich odpowiedni system kształcenia, oparty na najlepszych metodach. Szkolnictwo przyczynia się zatem do zbawienia człowieka, a kluczowe znaczenie w tym eschatologicznym planie ma nauczanie filozofii neoarystotelesowskiej”.

Facca stwierdza, że Keckermann realizował „szesnastowieczne ideały w nowoczesnym programie dydaktycznym”. Był jednym z tych myślicieli, dzięki którym „filozofia podąża w kierunku głębokich przeobrażeń, w wyniku których staje się czymś niewspółmiernym z klasycznym i scholastyczno-średniowiecznym modelem, któremu dochowuje wierności już tylko w słowach”.

Książka wydana została w ramach serii studiów z historii filozofii i idei poświęconej renesansowi i reformacji, którą redaguje Lech Szczucki.

Orunia i okolice



Publikowana przez Polnord Wydawnictwo „Oskar” seria poświęcona gdańskim dzielnicom rozkręca się coraz szybciej. Po niedawnym tomie, w którym przybliżano Nowy Port i jego historię (pisaaliśmy:

„30 Dni” 6/2006), ukazał się kolejny. Tym razem Jerzy Samp prowadzi nas na Orunię, Stare Szkoty i do Lipiec, „trzech ściśle ze sobą związanych dzielnic Gdańska”.

Autor przypomina, że „niniejsze opracowanie jest rozbudowaną i zaktualizowaną wersją książki »Orunia. Historia-Zabytki-Kultura«, którą wydał w 1992 roku. Ale spis treści tej nowej publikacji i tematyka kolejnych rozdziałów jest podobna do tej, która wystąpiła we wcześniejszych tomach „dzielnicowej” serii. „Sporo miejsca poświęcono żyjącym tu ludziom (w tym także wybitnym osobistościom), za-

bytkom, jakie się tu zachowały do naszych czasów, budowlom, parkom i założeniom ogrodowym, życiu religijnemu, szkolnictwu, wreszcie przeobrażeniom, którym miejscowości te ulegały na przestrzeni wieków, zarówno w wymiarze społeczno-politycznym, jak i w dziedzinie kultury duchowej i materialnej. Osobne miejsce poświęcono obecności trzech dzielnic w piśmiennictwie i literaturze pięknej, zarówno polsko-, jak i obcojęzycznej”.

„Nie ma dzielnic dobrych i złych, lepszych i gorszych – pisze we wstępie Jerzy Samp – są tylko tacy lub inni mieszkańcy,

od których w znacznym stopniu zależy zła lub dobra ich sława. Często raz ukształtowany stereotyp trwa przez całe dziesięciolecia”. I pyta: „Czy można mówić o »duchu miejsca«, o emocjonalnym stosunku mieszkańców Oruni, Starych Szkotów czy Lipiec do swych dzielnic, mimo wszelkich niedogodności oraz zaniedbań, za które winę ponoszą gospodarze miasta, od sześćdziesięciu lat nie dostrzegający elementarnych potrzeb ludzi tu mieszkających?”. Autor jest przekonany, że – „mimo wszystko” – „odpowiedź na tak sformułowane pytanie może być pozytywna”.

Pomorski Mały Książę?

„Rozmowy z Cieszkim” Jana Piepki ukazywały się przed prawie trzydziestu laty na łamach „Dziennika Bałtyckiego”. Znajdowały wtedy licznych czytelników, tak wśród nastolatków, jak i dorosłych. Sto takich gawęd zebrał w tym tomie Roman Repeć, który od pewnego już czasu przybliża spuściznę Jana Piepki. Kolejne pozycje publikuje

w swoim wydawnictwie „Vam”.

„Zbudziłem się, a on, Cieszek, już stał przy tapeczanie.

– Sądziłem – wyjaśniał – że będziesz mnie potrzebował.

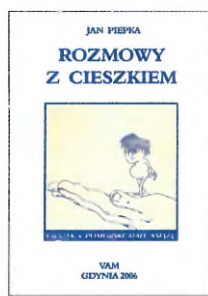
– Ależ tak. Jesteś moim przedłużeniem snu.

– Ładna mi rzecz- powiedział z wymówką, a ja znalazłem się tuż, tuż obok zdziwienia.

– Dlaczego mi to wymawiasz?

– Bo w takim razie mnie nie ma.

– Dla mnie jesteś – broniłem



się – Przecież połowa to marzenia. Nawet więcej.

– Senne?

– Nie. Zwyczajnie, te naprawdę, Cieszku”.

Cieszek jest tworem, który „urodził się o krok od poezji”, jego „ojcem jest Dzień, a matką Noc”. Poznaje mieszkańców Pomorza i otaczający świat, a jego przewodnikiem w tej wędrówce jest poeta. Czytelnik szybko się orientuje, a wskazuje też na to wydawca, że literacko Cieszek ma być bliskim krewnym Małego Księcia.

Nasze propozycje:

Donald Tusk

„Solidarność i duma”

Cena 15 zł

„Od Oruni po Siedlce”

Kolejny tom z serii „Był sobie Gdańsk – Dzielnice”

Cena 42 zł

„Einst in Danzig”

Album „Był sobie Gdańsk”

z tekstem w języku niemieckim

Cena 45 zł

Mariusz Gizowski

„Herby patrycjatu gdańskiego”

Cena 49 zł

Do nabycia: „Millenium Media”

ul. Szeroka 121/122, 80-835 Gdańsk, tel. 058 3056022

Również wysyłka na terenie Polski.



1986 – grupa młodzieży spędza wakacje z dziećmi z rodzin zaniedbanych, zawiązuje się „Rodzina Nadziei”



1990 – rejestracja „Rodziny Nadziei” jako fundacji, powstaje pierwszy „dom rodzinny” w Sopocie

**Misją fundacji jest pomoc dziecku i rodzinie,
poprzez prowadzenie prorodzinnych form opieki.**

Nasze cele:

- Pomoc dziecku z rodziny patologicznej poprzez zapewnienie mu opieki w formach prorodzinnych.
- Umieszczanie dzieci pozbawionych rodziców naturalnych w rodzinach zastępczych, adopcyjnych i pogotowiach rodzinnych.
- Profilaktyka środowiskowa dla dzieci z rodzin dysfunkcyjnych poprzez prowadzenie ognisk wychowawczych.
- Poprawa stanu zdrowia dzieci z upośledzeniem fizycznym i psychicznym poprzez terapię i rehabilitację połączoną z hipoterapią.



Formy działania:

- rodzinne domy dziecka
- ogniska wychowawcze
- ośrodki rodzin zastępczych i adopcyjnych
- mieszkania środowiskowe
- turnusy rehabilitacyjne
- subkonta dla dzieci oczekujących na zabiegi
- imprezy dla dzieci, pikniki rodzinne
- aukcje, koncerty, imprezy charytatywne

Biuro Fundacji: ul. Grottgera 25, 80-311 Gdańsk, tel./fax 0-58 552-10-18

e-mail: rodzina@free.ngo.pl • www.free.ngo.pl/rodzina

Nasze konto: Kredyt Bank S.A. o/Sopot nr 93 1500 1706 1217 0001 1229 0000



Technologia - droga do przyszłości.

PROKOM
SOFTWARE SA